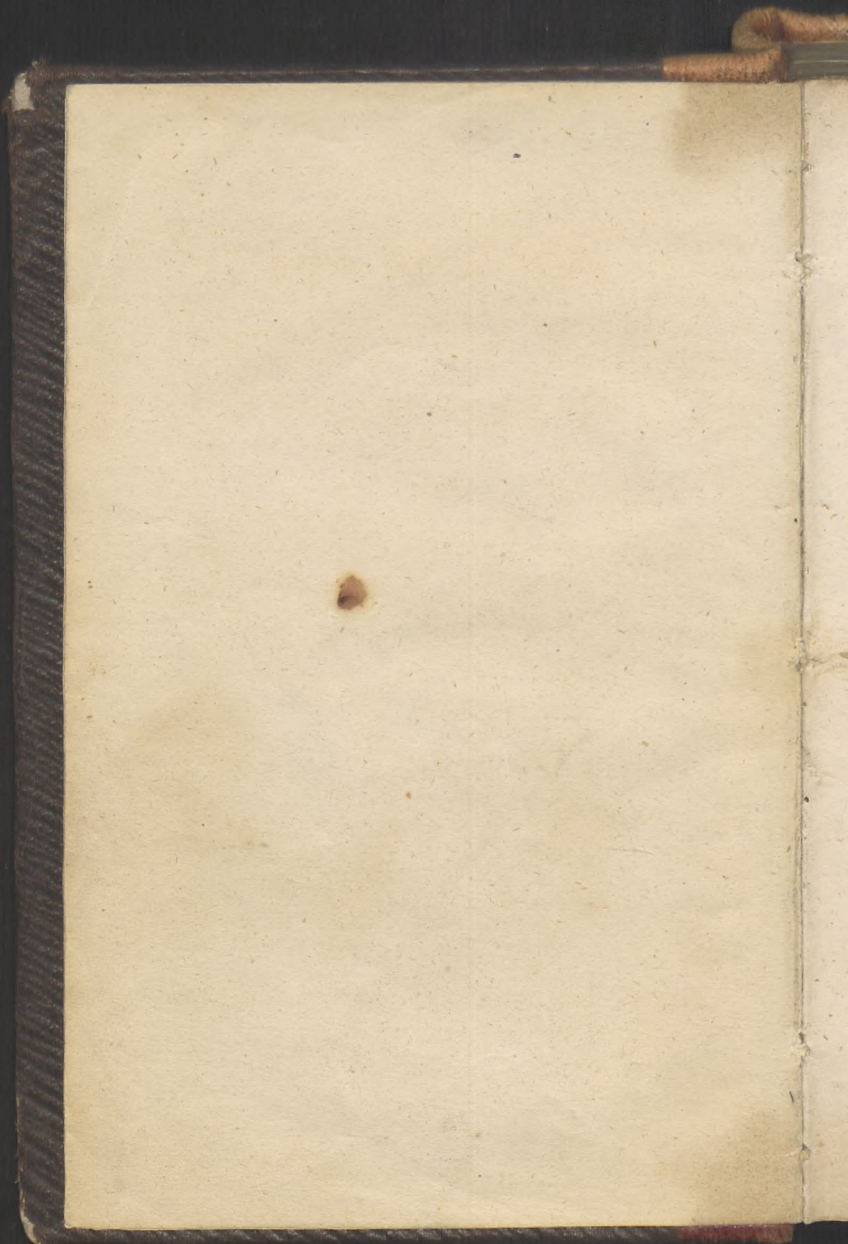


I 360.063



SIEDM GRESKOW GLOWNYCH

PRZEZ

Konduktora nac.

TON XI

A.

ROZWIAZOSC.

TON I

WARSZAWA.

Wydawnictwo i druk S. ORGELBRANDA w Warszawie i Tomografie

przy ulicy Miodowej Nr. 200

1848.

SIEDM GRZECHÓW GŁÓWNYCH

PRZEZ

Eugeniusza Sue.

TOM XI.

4.

ROZWIĄZŁOŚĆ.

TOM I.

WARSZAWA.

Nakład i druk S. ORGELBRANDA Księgarza i Typografa

przy ulicy Miodowej Nr. 496.

—
1849.

MAGDALENA

PRZEZ

Eugeniusza Sue.

przełożył O. S.

TOM I.

WARSZAWA.

Nakład i druk S. ORGELBRANDA Księgarza i Typografa
przy ulicy Miodowej Nr. 406.

—
1849.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
exemplarzy.

Warszawa d. 26 Lutego (10 Marca) 1848 r.

Cenzor **J. Hignet.**



1360.063

ROZDZIAŁ I.



alac *Elyseé-Bourbon* (niegdyś mieszkanie margrabiny de Pompadour) położony wśród przedmieścia St. Honorjusza, obecnie, jak wiadomo, jest gospodą dla wszystkich książąt zagranicznych, katolickich, protestanckich lub muzułmańskich, począwszy od książąt związku niemieckiego, aż do Ibrahima Baszy.

Przy końcu Lipca, lat ostatnich, około godziny 11 rano, kilku młodych sekretarzy i paniczów towarzyszących J. C. M. Arcy księciu Leopoldowi, który gościł w Elysée-Bourbon, od sześciu tygodni, zgromadziło się w jednej z sal służbowych pałacu.

— Przegląd wojska odbywający się na polu Marsowem, na cześć J. C. M. coś się przedłuży,—powiedział jeden. — Tego poranku będzie mnóstwo osób na posłuchaniu u księcia.

— To pewna, — rzekł drugi, — że od pół godziny czeka już na niego pięć czy sześć osób.

— A J. C. Mość, jako dopełniający ściśle przepisów wojskowych, żałować będzie téj niepunktualności.

Drzwi sali otworzyły się, wszedł niemi młodzieniec dwudziestoletni, zapewne domownik, i udał się do przyległego pokoju, ukloniwszy się uprzejmie lecz nieśmiało, osobom o którychśmy wspomnieli, a które na widok jego powstały z uszanowaniem, chociaż ani wiek, ani stopień jego nie zdawały się wymagać takich względów.

Zaledwie wyszedł, gdy jeden z obecnych paniczów, stosując mowę do owego młodzieńca, powiedział:

— Biedny *hrabia Franciszek*.... zawsze taki nieśmiały, piętnastoletnia dziewczyna wychodząca z klasztoru pewniejsza jest sobie....

— Ktoby to myślał, patrząc na jego dziewi-

czą postać, że on już trzy lata z rzadkiem męż-
twem walczył na Kaukazie?...

— Ja, moi panowie, wyobrażam sobie że
hrabia Franciszek, musiał zawsze skromnie
spuszczać oczy, nawet rąbiąc Czerkiesów.

— Zresztą, zdaje mi się że J. C. M. bardzo
jest zadowolony z naiwności swego...

— Do katal!... nie bądźże tak gadatliwym,
mój kochany.

— Pozwólże mi dokończyć. Powiadam że
J. C. M. bardzo jest zadowolony z naiwności
swego... chrzestnego syna....

— A to co innego.... Ja także mniemam, że
książę nie bez obawy widział tego pięknego
chłopca wystawionego na piekielne pokusy
Paryża. Ale z czego się śmiejesz?

— Z niczego.

— Czy rozumiesz, że hrabia Franciszek po-
mimo swój pozornej niewinności, wplątał się
w jakie miłości?

— Patrzcież tedy, Panowie, jaki to uśmiech
może mieć znaczenie, gdyż biorę was na świad-
ków, że się tylko uśmiechnął...

— Bez żartów, mój drogi, czy sądzisz że
hrabia Franciszek?...

— Ja nic nie sądzę... ja nic nie mówię...

będę milczał jak dyplomata, któremu interes mówić zabrania.... albo jak młody oficer z gwardyi szlacheckiej, który po raz pierwszy prezentuje się Jego C. Mości

— To rzecz niezaprzeczona, że nakazujące spojrzenie księcia zmięszać może najsmielszego człowieka. Ale wracając do hrabiego Franciszka....

Tę rozmowę przerwało przybycie do sali służbowej jednego z towarzyszków rozmawiających tu osób.

Nowo przybyły zwrócił uwagę obecnych na inny przedmiot, i kilka głosów odezwało się razem:

— No i cóż, twoje dziwy?

— Ta sławna fabryka przy ulicy St. Marceau?

— Czy też warta była widzenia?

— Jak dla mnie, moi panowie, który jestem bardzo ciekawy widzieć każdą fabrykę machin, — odpowiedział nowo przybyły, — ten poranek istotnie był nader zajmujący, i oświadczam, że pan Karol Dutertre, właściciel téj fabryki, jest jednym z najbiegłych i najuczniejszych mechaników,... dodam jeszcze że mało znam ludzi równie jak on uprzejmych: chciał-

bym nawet skłonić J. C. M. do zwiedzenia tych warsztatów.

— Otóżto, tobie, moj drogi, nikt nie zarzuci marnowania czasu na fraszkach... co do mnie, wyznaję moją słabość... iż z wszystkiego com widział w Paryżu, najwięcej mnie zachwyił, oczarował... odurzył... powiem nawet najwięcej mnie nauczył.....

— Któż taki? niech się dowiemy.

— Oto.... (choćby to bluźnierstwo miało zarumienić naszą czystą i dumną Germanję) oto....

— Dokończe!

— To jest bal Mabilie.

Jeszcze się nie uspokoiły śmiechy i wykrzykniki, wywołane tem szczerem wyznaniem, kiedy wszedł jeden z sekretarzy Arcyksięcia z dwoma listami w rękę:

— Panowie! nowe wiadomości z Bolonii i z Wenecyi, — odezwał się wesolo.

— Brawo! kochany Ulryku,... i jakież tam nowiny?

— Najciekawsze, najdziwniejsze w świecie.

— Doprawdy?

— Dalejże.... opowiedzże nam to, mój kochany.

— Najprzód Bolonia a potem Wenecya, były przez dni kilka w największem poruszeniu... a to w skutek wypadków zadziwiających.

— A więc rewolucya?

— Jakieś poruszenie Młodej Italii?

— Albo nowe jakie ogłoszenie papieża.

— Nie, moi panowie, tu rzecz cała idzie o kobietę.

— O kobietę!

— Tak jest... albo raczej o diabła, i prędzej temu gotów byłbym uwierzyć.

— Dręczysz nas Ulryku, wytłumacz się jaśniej.

— Przypominacie sobie panowie, że zeszłego roku, mówiono w Niemczech, o tój młodej wdowie meksykance, margrabinie de Miranda.

— A jakże! wszakże to o niej nasz poeta *Moser-Hartiman*... napisał te piękne i namiętne wiersze, w których ją zowie Nową Afrodytą.

— Ah! ah! jakaż to śmieszna omyłka! przerwał śmiejąc się jeden z obecnych, — Moser Hartiman... wyjątkowy spirytualista, nieskalany poeta, czysty i zimny jak śniegi, opiewał Afrodytę namiętnym wierszem!! Słyszałem ten

wiersz precudny.... ależ on być musi utworem innego Hartimana....

— A ja cię zapewniam, mój drogi, i Ulryk ci to potwierdzi, że ten poemat równający się najpiękniejszym odom Safony greckiej, jest niewątpliwie utworem Moser'a-Hartimana.

— Nic prawdziwszego,—odparł Ulryk,—słyszałem jak sam Moser-Hartiman deklamował te swoje wiersze... godne czasów starożytności.

— Kiedy tak, muszę ci uwierzyć; ale jak wytłómaczyć to jego nagle niepojęte przeobrażenie?

— O mój Boże! to przeobrażenie, które zamieniło talent zimny i poprawny, w geniusz potężny i namiętny, znany dziś w całej Europie... to przeobrażenie jest dziełem kobiety... margrabiny de Miranda.

— Moser-Hartiman tak zmieniony.... nigdy bym temu nie uwierzył!

— Ba!... odparł Ulryk, — nie pierwsza to sprawka margrabiny, i jak zobaczycie, nie ostatnia... piszą mi tedy z Bolonii... był tam pewien kardynał—legat.... który obudzał na siebie wstręt i niechęć w całym kraju...

— Jak gdybyś nazwał Orsiniego, człowieka równie nienawistnego jak nienawidzonego.

— Ma on powierzchowność godną swego urzędowania; widziałem go w Lombardyi... co za oblicze strupieszale... złowrogie.

— Otóż więc, margrabina zaprowadziła go na bał do *Casino de Bologne*, zamaskowanego i przebranego za *Pandura*

— Kardynał legat przebrany za rycerza *pan-dura*,—zawołali wszyscy razem.— Co znowu! Ulryku, to są baśnie!

— Przeczytasz list, a skoro zobaczysz podpis uwierzysz wszystkiemu, odpowiedział Ulryk.—]Tak jest, Orsini przebrany znajdował się w towarzystwie margrabiny, która wśród bału, zerwawszy mu maskę rzekła do niego głośno: *Dobry wieczór kardynałowi Orsini*; a potem śmiejąc się jak szalona, znikła, zostawiając legata śród wrzasków przerażonego tłumu. Byłby narażony na niebezpieczeństwo, gdyby go wojsko nie było osłoniło; nazajutrz powstała cała Bolonia, żądając odwołania kardynała Orsini, który we dwa dni potem w nocy opuścić musiał miasto. Na drugi dzień po jego wyjeździe wszystkie domy zostały oświetlone na znak powszechnej radości nawet na

kilku przezroczeniach widzieć się dało podwójne M. to jest cyfra margrabiny.

— A z nią cóż się stało?

— Nie ujrzano jój więcej, bo wyjechała do Wenecyi..., odpowiedział Ulryk, — pokazując list,—tam, było znów co innego....

— Co za kobieta! Co za kobieta!

— Jak ona wygląda?

— Czy ją widziałeś?

— Nie...

— Ani ja...

— Ani ja....

— Powiadają że jest bardzo wysoka i szczupła.

— Mówiono że jest wzrostu więcej niż miernego.

— To tylko pewno, że jest brunetka, bo Mosser-Hartiman mówi o jój czarnych brwiach i jój czarnych oczach...

— O tem tylko zapewnić was mogę, — odpowiedział Ulryk,—że w owym liście pisanym z Wenecyi, donoszą mi, że margrabina poetycznie przezwana *białą gwiazdą*, wyjechała właśnie do Francji..

— A w Wenecyi.... co ona zrobiła?.. cóż się tam stało?



— Przyznać trzeba, — rzekł Ulryk, — że to jest awantura, mająca związek z obyczajami starożytności pogańskiej i średnich wieków we Włoszech.

— Nieszczęściem dla ciekawych słuchaczy Ulryka, rozległ się w téj chwili odgłos bębna, zwiastujący przybycie arcyksięcia Leopolda, każdy przeto dworzakin księcia wrócił na swoje stanowisko; każdy gotował się na przyjęcie Jego Cesarskiej Mości.

W istocie, szyldwach stojący przy Elysée Bourbon, widząc zdaleka szybko nadjeżdżające powozy w liberyi króla Francuzów, wydał okrzyk: do broni! — Żołnierze gwardyi, z oficerem na czele, wystąpili z bronią, a w chwili kiedy powozy królewskie wjeżdżały kolejno na ogromny dziedziniec pałacu Elysée, wojsko prezentowało broń przy odgłosie bębna.

Najpierwszy pojazd zatrzymał się przed pałacem; lokaje w paradnej liberyi czerwonej, otworzyli drzwiczki, spuścili stopnie, a Jego Cesarska mość, Arcyksiążę Maksymilian Leopold, wstępował zwolna na stopnie przysionka, rozmawiając z półkownikiem, przybocznym oficerem króla, z obowiązku towarzyszącym księciu; o kilka kroków za nim postępo-

wali jego adjutanci, przybrani w błyszczące mundury cudzoziemskie; którzy również z pojazdów królewskich wysiedli przed pałacem.

Arcyksiążę, mający lat trzydzieści dziewięć, był silnie zbudowany, lubo kształt jego zdawał się wysmukły; z sztywnością wojskową nosił wielki mundur feldmarszałka, to jest mundur biały ze złotymi szlifami, spodnie kaźmirkowe szkarłatne i wysokie połyskujące buty, nieco zapyłone, gdyż konno odbywał przegląd wojsk na cześć jego zgromadzonych; wielka wstęga czerwona, wielki order złotego runa i kilka innych znaków okrywało jego piersi; włosy jasno blond i długie wasy tegoż koloru, po wojskowemu zakręcone, szeroka broda, i nos wydatny nieco zgarbiony, podwajały surowość wyrazistych rysów jego twarzy; oko niebieskie, zimne i przenikliwe, nieco przymknięte, a nad niem brew wysoko odznaczona; dla tego rzecby można: że książe zawsze z bardzo wysoka spoglądał; to spojrzenie surowe, pogardliwe, obok nakazującej postawy i niewzruszonego układu głowy, nadawały powierzchowności arcyksięcia jakiś wyraz lodowatej i dumnej powagi, która łączyła w sobie godność i szlachetność.

W kwadrans po powrocie księcia do Elysée Bourbon, zajechały powozy: ministra francuzkiego i ambasadora jednego z wielkich państw północnych, które się kolejno zatrzymały przed przysionkiem, a mąż stanu i dyplomata weszli do dałacu.

W teje prawie chwili, przybyła pieszo na dziedziniec Elisée Bourbon, jedna z osób najwięcej zajmujących w tej powieści.

Pan Paskal (tak się nazywał nasz bohater) zdawał się mieć około lat trzydziestu sześciu; był wzrostu miernego, włosów czarnych, brodę nosił dość długą, a z pod-czarnych jego brwi błyszczały małe, dowcipne i przenikliwe siwe oczy; w chodzie pochylał się lekko, nie skutkiem jakowój wady wrodzonej, ale raczej skutkiem umyślnego zaniedbania; spuszczenie za zwyczaj głowy, i trzymanie rąk w bocznych kieszeniach spodni, nadawały to pochyłe zaokrąglenie szerokim plecóm jego; rysy jego twarzy byłyby dosyć piękne, gdyby ich nie szpecił wyraz ironicznej złośliwości, z którym się łączyła owa nieubłagana pewność, właściwa ludzióm próżnym i przekonanym o swój wszechwładzy. Czarna chustka na szyi nisko związana, jak mówią, *à la Collin*, długa

kamizelka z wełnianej szkockiej materyi, letni paltot jasnego koloru, kapelusz siwy dosyć wytarty, i szerokie nankinowe spodnie — powiedzieliśmy już że pan Paskal zatopił obie ręce w ich bocznych kieszeniach, — taki był strój jego, wątpliwéj czystości i w niezupełnéj harmonii z nieznośnym upałem pory letniej, i zwyczajnem zaniedbaniem jego osoby.

Pan Paskal przechodząc około budki odźwiernego, usłyszał głos tego człowieka, który z krzesła swego za nim wołał:

— Héj!... Panie, dokąd to? —

Bądź że go pan Paskal nie usłyszał, bądź też dla tego że mu odpowiedzieć nie chciał, nie wyrzekłszy i słowa, szedł prosto ku przysionkowi.

Wtedy szwajcar, podniosłszy się z krzesła, pobiegł za niemyim gościem, i rzekł do niego z niecierpliwością.

— Jeszcze raz, zapytuję pana, dokąd pan idziesz? wszak mi się odpowiedź należy.

Pan Paskal zatrzymawszy się, zmierzyl pogardliwym spojrzeniem pytającego, ruszył ramionami, i poszedł dalej ku przysionkowi mówiąc:

— Ja idę.... do arcyksięcia.

Pan szwajcar, który znał świat, nie mógł przypuścić, ażeby ten gość w letnim paltocie, z chustką zawiązaną *a la Collin*, miał mieć istotnie posłuchanie u księcia, a mianowicie ażeby się ważył przedstawić mu, w kostiumie tak ubliżająco-zaniedbanym, kiedy wszystkie osoby mające zaszczyt być przyjmowanemi w pałacu musiały mieć ubiór kompletnie czarny; a więc pan szwajcar, biorąc pana Paskala za jakiegoś nieokrzesanego kupca lub przedsiębiercę, poszedł za nim wołając głosem donośnym.

— Ależ, panie!... kupcy których J. C. Mość potrzebuje, nie wchodzą wielkimi schodami; oto... tam, na prawo... są drzwi dla dostarczycieli, osób zwyczajnych... tedy wejść powinieneś.

Pan Paskal, skąpy w słowie, ruszył znowu ramionami, i szedł dalej ku wielkim schodom, nie odpowiadając szwajcarowi.

Ten zaś, zniecierpliwiony tem uporeczywem milczeniem, pochwycił pana Paskala za ramię, a wznosząc głos, zawołał:

— Raz jeszcze, powiadam panu, że nie tedy masz wchodzić...

— Cóż to znaczy, błaznie? — krzyknął pan

Paskal, z wyrazem gniewu i osłupienia, jak gdyby postępek szwajcara zdał mu się równie zuchwałym jak niepojętym.

W tych słowach przebijał się wyraz takięj powagi i groźby, że biedny szwajcar przerażony, wybąkał nieśmiało:

— Ale panie... ja... ja. . nie wiem...

Wielkie drzwi przysionka otworzyły się wtedy gwałtownie, gdyż jeden z adjutantów księcia, zobaczywszy oknem utarczkę pomiędzy szwajcarem a nowo przybyłym gościem, zbiegł spiesznie na dół, a zbliżywszy się z uprzejmością do pana Paskala, rzekł do niego te słowa, wyborną francuzczyzną, tonem grzecznym i serdecznym:

— Ah! panie, J. C. M. arcyksiężę żałować będzie, jestem pewien, tego nieporozumienia. Pozwól pan, abym mu przewodniczył... natychmiast pana wprowadzę... W tej chwili odebrałem rozkazy księcia, tyżące się pana.

Pan Paskal skłonił głowę na znak przyzwolenia, i poszedł za adjutantem, zostawując szwajcara osłupiałego i zmartwionego swoją niezręcznością.

Kiedy pan Paskal przybył w towarzystwie swego przewodnika do sali przedpokojowej,

gdzie się znajdowało kilku innych adjutantów, młody oficer dodał:

— Na posłuchaniu J. C. M. będzie tego poranku mnóstwo osób, gdyż przegląd zajął księciu więcej czasu aniżeli się spodziewał; o'tóż zapobiegając temu ażebyś pan zbyt długo nie czekał, kazał mi ksiązę wprowadzić pana do przyległego pokoju, obok gabinetu, dokąd J. C. M. przybędzie zaraz po odbytej konferencyi z panem ministrem spraw zagranicznych.

Pan Paskal uczynił znowu znak przyzwolenia, a poprzedzony przez adjutanta, przeszedł wązki i ciemny korytarzyk, prowadzący do salonu, którego okna wychodziły na wspaniały ogród Elysée.

Adjutant zajęty ową nieszczęśliwą utarczką szwajcara z panem Paskalem, teraz dopiero spostrzegł zaniedbany ubiór jego.

Przyzwyczajony do surowej formalności we względzie etykiety, młody dworzanin, został nieprzyjemnie zdziwiony ubliżającym nieladem w stroju osoby, którą właśnie wprowadził! wahał się jednak pomiędzy obawą narażenia się takiemu człowiekowi jak pan Paskal, a chęcią zaprotestowania przeciw tak nieprzy-

zwoitemu zaniedbaniu, w którym widział pewien rodzaj obelgi dla godności książęcej, tem więcéj, że książę był nieubłagany dla ubliżających mu w téj mierze; jednak, obawa narażenia sobie pana Paskala, połączona z tą słuszną uwagą, że już zapóźno byłoby się przebierać, wzięła górę nad owem drugim uczuciem, i młody oficer oddalając się, rzekł tylko te słowa:

— Jak tylko pan minister spraw zagranicznych wyjdzie z gabinetu, uprzedzę natychmiast J. C. M. że pan jesteś gotów na jego usługi.

Te ostatnie wyrazy: *że pan jesteś na jego usługi*, zdaje się, nie przyjemnie zabrzmiały w ustach pana Paskala; bowiem sardoniczny pół-uśmiech skrzywił jego usta; lecz natychmiast czyniąc jak gdyby był u siebie, i znajdując zapewne, że zbyt gorąco jest w salonie, otworzył sobie okno, a oparłszy się na niem, zaczął wyglądać na ogród.

ROZDZIAŁ II.



...tóż nie zna tego prześlicznego w miniaturze zwierzyńca, zasadzonego najpiękniejszymi w świecie drzewami, w pośród trawników którego, wije się rzeczka angielska; chodnik na tarasie ocieniony stuletnimi wiązami, stanowi linię graniczną tego parku od drogi Marigny: podobnyż chodnik równoległy stanowi granicę przeciwnej strony, a mur niski oddziela go od sąsiednich ogrodów.

Ten ostatni chodnik, o którym mówimy, ciągnął się prawie aż do okna salonu, którem wyglądał pan Paskal; wkrótce dla kilku przy czyn uwaga jego nagle zbudzoną została.

Ow młodzienc, któregośmy już poznali, a którego nieśmiałość dawała powód do rozmaitych domysłów, przechadzał się wolnym krokiem pod cieniem wiązów rozłożystych. Postać jego była kształtna i wysmukła; od czasu do czasu, zatrzymywał się, spuszczał głowę, stawał nieporuszony, i znów się przechadzał; doszedłszy do końca ogrodowej ulicy, zbliżył się ukradkiem do granicznego muru, mającego nie więcej nad cztery stopy wysokości, oparł się na nim i zdawał się przez chwilę być zatopiony w myślach, czy w jakimś oczekiwaniu.

Pan Paskal nie mógł dotąd rozpoznać twarzy młodzieńca, który oddalając się od pałacu, tyłem był do niego obrócony, dla tego zapytywał sam siebie, za czem ten nieznamy tak patrzy lub czego on tak oczekuje, gdy młodzienc, nie ujrawszy zapewne przedmiotu za którym wyglądał, zwrócił się i znowu postępował ku stronie pałacu.

Młodzienc ten zwany hrabią *Franciszkiem Neuberg*, uchodził za chrzestnego syna arcyksięcia, który go tkliwie kochał. Według pogłosek dworskich, J. C. M. nie mając dzieci z małżeństwa swego z księżniczką *Saxe-Teschen*, dla ważnych przyczyn kochał jak ojciec

Franciszka de Neuberg, który miał być owocem jego pierwszej i tajemnej jakiejś miłości.

Franciszek miał zaledwie lat dwadzieścia w epoce, do której się odnosi to opowiadanie a powierzchowność jego słusznie nazwałby można typem melancholicznym północnej piękności: długie jasne włosy, rozdzielone na białem, dziewiczem jego czole, spadały po obu stronach twarzy, odznaczającą się doskonałą pięknością rysów; w dużych błękitnych oczach, w spojrzeniu łagodnem i marzącem, odbijała się czystość jego duszy; puszcający się zaledwie puszek jedwabno-złocisty na brodzie i wierzchniej wardze, znaczył piętnem mękości to prześliczne oblicze.

W miarę zbliżania się do pałacu, Franciszek ściągał na siebie uwagę pana Paskala, który, uderzony rzadką doskonałością rysów jego twarzy, wpatrywał się w niego z uwielbiającem podziwieniem. Zatrzymawszy się w niewielkiej odległości od okna, spotkał uporczywe i badawcze spojrzenie w oknie opartego widza; zmieszany młodzieniec, zarumienił się, spuścił oczy, i odwrócił się szybko, spiesznym postępując krokiem aż ku środkowi ulicy; potem zaczął iść wolniej, ale dręczony tą myślą że

ktoś obcy uważa każde jego poruszenie, zbliżył się nieśmiało do granicy sąsiedniego ogrodu; lecz nagle poskoczył żwawo... zapominając o swoim kłopotcie.... na widok kapelusika słomianego, ukazującego się po nad murem ogrodowym, z którego różowe jedwabne podszycie okolało prześliczną, piętnastoletnią twarzyczkę, o jakiej tylko zamaryzyć można....

— Panno Antonino.... rzekł z żywością Franciszek, uważają nas...

— Dziś w wieczór.... szepnął słodziutki głosik.

I kapelusik słomiany zniknął cudownie za murem, gdyż ta która go nosiła, lekko zeskończyła z ławki pod murem stojąc.

Dla wynagrodzenia zapewne tak nagłego odwrotu, piękna róża upadła pod nogi Franciszka, który podniósłszy ją natychmiast, z zapalem do ust swych przycisnął; poczem ukrywając kwiatek za kamizelkę, młodzieniec zniknął w cieniu gęstych drzew ogrodu.

Pomimo szybkości z jaką się ta scena odbyła, pomimo zniknięcia słomianego kapelusika, pan Paskal poznał zachwycające rysy młodej dziewczyny, i widział jak Franciszek namiętnie pocałował podniesioną z ziemi różę.

Rysy twarzy ostre i sardoniczne pana Paskala, dziwnie ponury przybrały wyraz. Łatwo w nich wyczytać było można gwałtowny gniew, zazdrość, boleść i nienawiść; przez kilka chwil przerażający wyraz jego fizjonomii, zdradzał w nim człowieka który przyzwyczajony do łamania wszelkich przeszkód, zdolnym jest dopuścić się czynów piekielnej złośliwości, gdyby się cokolwiek sprzeciwić miało żelaznej jego woli.

— Ona! Ona! tu w ogrodzie sąsiednim Elysée Bourbon, — mówił do siebie z tłumioną wściekłością, — co ona tu ma do czynienia? O! jakież głupiec ze mnie! ona tu przychodzi w zalecanki do tego jasnowłosego młodzienaszka... może nawet mieszka w przyległym domu! Miłosierny Boże!... dowiedzieć się... i dowiedzieć się takim sposobem o jej mieszkaniu, po tych daremnych poszukiwaniach... odkąd mnie ten przekłety, piętnastoletni buziaczek oczarował, jestem jak szalony... ja... ja, którym się sądził dawno umarłym dla tych wszystkich szalonych urojeń, obok których jednak, najgwałtowniejsze namiętności serca są lodem tylko.... tak jest! otóż więc, spotkawszy ze trzy razy tę małą dziewczynę. czuję się

zdolnym, jak za pięknych dni mego życia, wszystko poświęcić, aby ją tylko otrzymać... w téj chwili zwłaszcza, kiedy mnie zazdrość dręczy i pożera... bo chociaż to głupstwo, dzieciństwo, ale ja cierpię....

Domawiając tych słów, rysy twarzy pana Paskala, wyrażały istotnie dziką i nienawistną boleść; poczem, wyciągnąwszy ściśnioną pięść ku stronie, w której się ukazał słomiany kapelusik, dodał z wyrazem tłumionej wściekłości:

— Zapłacisz mi to... poczekaj.. mała; bo cokolwiekby mnie to kosztować miało... ty musisz być moją...

Pan Paskal, ciągle oparty na balustradzie, nie mógł oderwać zagniewanego wzroku od owego miejsca gdzie Franciszek słów kilka do młodej dziewczyny przemówił; zatopiony w ponurych dumaniach, nie słyszał jak się zwolna drzwi salonu otworzyły i jak niemi wszedł arcyksiążę.

Księżę pewnym będąc że się spotka, oko w oko, z osobą która go miała oczekiwać, zawczasu ułożył sobie wyraz twarzy, zazwyczaj lodowato-dumny i przybrał postawę pełną uprzejmości; wszedł zatem do sali z uśmiechem na ustach.

Pan Paskal na w pół wychylony za okno, i pogrążony w ponurych myślach, nie domyślając się obecności księcia, pozostał tyłem do niego odwrócony, opierając się na balustradzie okna.

Gdyby jaki fizyonomista był obecny tej milczącej scenie, mógłby zaiste ciekawe wyprowadzić wnioski o reakcyi uczuć na oblicze ludzkie.

Na widok pana Paskala, wychylonego oknem, i nieprzyzwyczajonego odzianego letnim paltotem, księżę zatrzymał się nagle; uśmiech przymuszony znikł z ust jego, a wyprężony się jeszcze wynioślej niż zazwyczaj, wyprostował się sztywno w swoim wielkim mundurze, poczerwieniał ze złości, zmarszczył brwi, a z oczu jego strzelały błyskawice gniewnego oburzenia, poczem... (tutaj to właśnie pole ciekawych badań dla fizyonomisty) poczem... rozważa nagle uspokoiła tę wewnętrzną burzę... oblicze księcia przybrało wyraz gorzkiego, bolesnego poddania się... skłonił głowę, jak gdyby się ugiął pod brzemieniem fatalnej konieczności...

A stłumiwszy westchnienie oburzonej dumy, rzucając spojrzenie pełne zemsty i wzgardy

na Pana Paskala, zawsze jeszcze za okno wychylonego, ksiązę przybierając powtórnie swój uśmiech uprzejmy, postąpił do okna pokasłując dla oznajmienia swój obecności, i uniknięcia zarazem upakarzającej potrzeby dotknięcia się ramienia osoby, której uwagę chciał na siebie zwrócić.

Na kilkakrotnie głośno powtórzone *hum! hum!* Jego Cesarskiej Mości, nasz jegomość obrócił się nagle; miejsce ponurego wyrazu, zajęło na twarzy jego dzikie i sardoniczne zadowolenie, na widok ofiary, na której się będzie mógł zemścić, wywierając na nią tłumione dotąd cierpienia i zagniewanie.

Pan Paskal przeto, postąpiwszy kilka kroków naprzeciw księcia, uklonił mu się posuwisto, trzymając w jednej ręce kapelusz, drugą zaś nie wyjmując z kieszeni.

— Przepraszam najmocniej W. C. M.,— rzekł do niego, — nie wiedziałem że się tu ksiązę znajduje....

— O tem nie wątpię, panie Paskal,— odparł ksiązę z wyrazem źle ukrytj dumy.

Potem zaś dodał:

— Chciėj pan wejść ze mną do mego gabi-

netu, mam panu pokazać niektóre akta urzędowe....

Kiedy książę postępował ku drzwiom gabinetu, pan Paskal rzekł mu z udaną spokojnością, bo człowiek ten miał wielką siłę nad sobą, kiedy tego była potrzeba.

— Mości książę.... czy wolno mi uczynić jedno pytanie? —

— Mów pan,—odpowiedział książę, zatrzymując się nieco zdziwiony.

— Mości Książę.... co to za młodzieniec... mający lat dwadzieścia najwięcej i długie jasne włosy.... którego dopiero widziałem przechadzającego się ulicą ogrodową... w bliskości pałacu?... Oto tu, Mości Książę...

— Zapewne pan chcesz mówić o hrabi Franciszku de Neuberg, moim synu chrzestnym?

— Ah! ten młodzieniec jest chrzestnym synem Waszój Cesarskiej Mości?... jest czego powinszować istotnie, trudno znaleźć piękniejszego chłopca.

Nieprawdaż?! — odparł książę, któremu ta pochwała, nawet w ustach takiego człowieka jak pan Paskal, nieobojętną była, — ma twarz prześliczną.

— Przekonałem się o tem przed chwilą przypatrując mu się uważnie.

— Ale hrabia Franciszek oprócz piękności oblicza, ma jeszcze,—dodał książę,—inne zalety serca i rzadkiej odwagi.

— Niewymownie się cieszę, że W. C. M. masz syna chrzestnego, zalecającego się tylu przymiotami.... i czy on dawno znajduje się w Paryżu?...

— Przybył tu zemną.

— I zapewne wraz z Księciem Paryż opuści, gdyż przykroby było W. C. M. rozłączać się z tak godnym kochania młodzieńcem?

— Istotnie, myślę zabrać z sobą hrabiego Franciszka do Niemiec.

— Bardzo przepraszam W. C. M. za moją niegrzeczną ciekawość.... ale syn chrzestny W. C. M. jest z liczby tych osób, które, w każdym mimowolne obudzają zajęcie... A teraz gotów jestem służyć W. C. M.

— Więc chciój pan iść za mną.

Paskal kiwnął głową na znak przyzwolenia, a postępując w równej linii z arcyksięciem aż do drzwi jego gabinetu, tu zatrzymał się z gestem uszanowania, który był nowem dla księcia ubliżeniem, gdyż lekko skłoniwszy głowę,

rzekł do księcia, jak gdyby tenże mógł się wa-
hać, pierwszy próg przestąpić:

— Proszę, ja po W. C. Mości.

Książę zrozumiał i strawił to zuchwalstwo,
a wszedłszy najprzód do gabinetu, dał znak
wejścia panu Paskal.

Ten, lubo nieobeznany z ceremoniałem dwor-
skim, miał przecież tyle rozumu, tyle przeni-
kliwości, że łatwo pojmował znaczenie słów
i czynów swoich; czuł on swoje zuchwalstwo,
podniecone jeszcze tłumionym gniewem, i obra-
chowywał sobie jak go ma użyć za narzędzie
swój zemsty, a między innemi rozbierał i tę kwe-
stję w umyśle swoim, czyliby mówiąc do Jego
Cesarzewiczowskiéj Mości, nie wygodniej było
używać, prostego tytułu: *Pana*; lecz wyracho-
wał sobie, na zasadzie doskonale obliczonej
impertynencyi, że używając ceremonialnego ty-
tułu *Książęcéj Mości* jego ubliżająca poufałość
tem wydatniej się okaże, obok pozornéj ety-
kiety...

W dalszem opowiadaniu, wystawimy ob-
szerniej charakter pana Paskala, który się za-
pewne czytelnikom naszym, mniej wydawać
będzie ekscentrycznym. Powiemy tylko, że ten
człowiek urodzony w ubóstwie, w stanie za-

leżnym, jako wyrobnik, przez dziesięć lat życia swego znosić musiał największe upokorzenia, ulegać najzuchwalszej władzy, cierpieć najobelżywszą wżgardę; tak więc, nieubłagana zawzięta nienawiść i zemsta napelniły jego duszę; a kiedy nadeszła chwila, w której z kolei on się ujrzał potężnym, natenczas bez wstępu, bez wyrzutów sumienia, zapragnął użyć rokoszy odwetu, nie zważając, czyli zemsta jego nie dosięgnie ofiar niewinnych.

Arcyksiążę, w niedostatku wyższości umysłowej, posiadał głęboką znajomość ludzi, nabytą sprawowaniem najwyższych urzędów w hierarchii wojskowej swego kraju; dla tego, przy drugim spotkaniu się z panem Paskalem (któremu właśnie jesteśmy obecni) zrozumiał znaczenie wyrachowanego zuchwalstwa w tym człowieku, i serce mu się boleśnie ścisnęło, kiedy pan Paskal, nie czekając prawie wezwania księcia, zasiadł sobie poufale w wielkiem krześle, na którym przed chwilą siedział pierwszy minister, pełen uszanowania i czei dla Jego Książęcój Mości.

Przenikliwe spojrzenie Pana Paskala podchwyciło to wrażenie odbijające się na czole arcyksięcia, i powiedział do siebie zcicha:

— Otóż to ksiązę zrodzony na stopniach tronu... spowinowacony z wszystkimi królami Europy, Generalissimus stotysięcznej armii, w całym przepychu swego wspaniałego munduru wojskowego, ozdobiony wszystkimi znakami honoru i chwały; ten ksiązę, ten człowiek pogardza mną w swój dumie królewskiej. Pogardza mną dla tego, że mnie potrzebuje i ponieważ wie że się musi poniżyć... a jednak człowiek ten mimo swój pogardy, mimo swój nienawiści, jest w moim ręku i dam mu to dotkliwie uczuć, ponieważ dzisiaj serce moje żółcią jest przepelnione.

ROZDZIAŁ III.



an Paskal, usadowiwszy się w złoconem krześle po drugiej stronie stołu, za którym książę siedział pochwycił zaraz nóż z perłowej macicy do rozcinięcia papieru który mu się nawinął pod rękę i bawiąc się z nim ustawicznie, powiedział do księcia.

—Jeżeli się W. C. Mości podoba... mówmy teraz o interesie... gdyż o pierwszej godzinie mam być na ulicy Saint-Marceau... u jednego z moich przyjaciół...

— Uprzedzam Pana — odpowiedział książę powściągając się zaledwie, — że chciałem do

jutra odroczyć wszystkie posłuchania, które mnie dzisiaj jeszcze oczekiwały, ażebym mógł Panu cały mój czas poświęcić.

— Zbyt wiele grzeczności ze strony Waszjej Cesarskiej Wysokości... ale przystąpmy do rzeczy. Księżę wziął ze stołu jakiś papier cały zapisany, i oddając go panu Paskalowi, odpowiedział:

— Pismo to przekona Pana, że wszystkie strony interessowane w cessyi którą mi proponują, nie tylko upoważniają mnie wyraźnie do przyjęcia onéj ale nadto zachęcają mnie do niéj żarliwie, gwarantują wszelkie wypadki mogące wyniknąć z mego przyjęcia.

— Pan Paskal nie ruszywszy się z krzesła, wyciągnął tylko rękę z jednéj strony stołu na drugą po podaną sobie notę, a odebrawszy ją od księcia powiedział:

— Bo też bez téj gwarancyi nie możnaby nic a nic zrobić.

I zaczął ją czytać powoli przewracając w ręku nóż którego dotąd jeszcze nie położył.

Księżę niespokojnym i przenikliwym wzrokiem wpatrywał się w pana Paskala, usiłując z wyrazu jego rysów odgadnąć czy akt który czytał dostatecznie zaspokajał jego wymagania.

Po chwili, Pan Paskal przestał czytać, i rzekł niby to do siebie głosem gniewliwym:

— Ho!... ho!... ten 7 artykuł wcale mi się nie podoba... ale to... wcale a wcale...

— Wytłomacz się Pan..., — zawołał księżę z obawą.

— Jednakże, — dodał Pan Paskal zabierając się do dalszego czytania i nie odpowiadając wcale arcyksięciu, jak gdyby zawsze jeszcze do siebie mówił, — ten Artykuł 7 jest naprawiony artykułem 8... tak... tak, rzeczywiście... wcale nie źle... nawet bardzo dobrze.

Czoło księcia wyjaśniło się znowu, gdyż żywo zajęty ważnością interesu którego los spoczywał w ręku pana Paskala, zapominał o grubiaństwie i wyrachowanej złościwości tego człowieka, który szczególniej doznawał roskoszy w powolnem przeprowadzaniu swój ofiary przez wszystkie wzruszenia trwogi i nadziei.

Jakoż po chwili, nowa obawa ogarnęła księcia, gdy pan Paskal zawołał:

— To być nie może!... nie... to być nie może! Dla mnie wszystko zostaje zniweczone przez ten pierwszy artykuł dodatkowy. To chyba na pośmiewisko!

— Ależ, mój Panie—zawołał ksiązę—mów-
że Pan jasno!

— Daruj, Wasza Książęca Mość.... w téj
chwili czytam tylko dla siebie samego... wkrót-
ce... jeżeli ksiązę życzy sobie... czytać będę
dla nas... obu.

Arcyksiązę pochylił głowę, zarumienił się
z oburzenia, i jakby zniechęcony oparł głowę
na jedną rękę.

Pan Paskal, czytając ciągle, nieznacznie rzu-
cił wzrokiem na księcia, i w chwilę potem,
rzekł znowu głosem coraz więcej zadowolo-
nym:

— Otóż to przynajmniej jakaś rękojmia...
pewna... niezaprzeczona...

I gdy ksiązę zdawał się w nowéj odżywać
nadziei, pan Paskal dodał zaraz:

— Na nieszczęście... gwarancya pozbawiona
jest... tego... co...

Nie dokończył słów swoich, lecz czytał da-
lój w milczeniu.

Nie, nigdy pokorny suplikant przychodzą-
cy błagać swego dumnego i roztargnionego
protektora... nigdy dłużnik w rozpacz y wzyw-
ający litości zuchwałego i kapryśnego wierzy-
ciela... nigdy winowajca chcący wyczytać łaskę

lub potępienie w oku swego sędziego.. nie doznali większych udręczeń od udręczeń księcia, w chwili, kiedy pan Paskal odczytywał ów dokument który mu dano do rozpoznania i który wkrótce położył na stole.

— I cóż mój Panie,—odezwał się nareszcie książę miotany niecierpliwością, — cóż Pan postanowiłeś?

— Czy Wasza Książęca Mość... raczy pozwolić mi pióra i kawałek papieru?...

Książę przysunął kałamarz, pióro i papier przed pana Paskala, który zaczął pisać rozmaite liczby, już to spoglądając w górę, jak gdyby w myśli rachował, już też mruczając zcicha rozmaite wyrazy bez związku żadnego, jak na przykład:

— Nie... omyliłem się, gdyż... ale, zapomniałem o... To rzecz widoczna... w takim razie równowaga byłaby zupełna, gdyby...

Po długim oczekiwaniu księcia, pan Paskal rzucił pióro na stół i wsadziwszy obie ręce w spodnie, przechylił głowę w tył, zamknawszy oczy jakby w myśli ostatni jeszcze odbywał obrachunek... poczem... wyprostowawszy się, rzekł głosem krótkim, stanowczym:

— Niepodobna, Mości Książę.

— Jaktó! Panie, — zawołał ksiązę przerażony... — w czasie pierwszej naszej rozmowy upewniłeś mnie Pan że to jest operacya dająca się wykonać...

— Dająca się wykonać, Mości Ksiązę... ale nie dokonana.

— Ależ, ta nota nój Panie... ta nota... w połączeniu z gwarancyą jaką Pauu ofiarowałem?

— Wiem o tem że ta nota propozycyami jakie przedstawia, uzupełnia bezpieczeństwo koniecznie potrzebne do podobnej operacyi.

— W takim razie dla czegoż Pan odmawiasz?

— Dla szczególnych powodów, Mości Ksiązę...

— Ale, jeszcze raz powtarzam, czyliż Panu nie dają wszelkich rękojmij jakich tylko możesz zażądać?

— Owszem... powiem nawet Waszej Książęcej Mości... że uważam operacyą tę nie tylko jako dającą się wykonać, ale nadto jako bezpieczną i korzystną dla tego ktoby ją chciał przedsięwziąć. Zatem, nie wątpię, że Wasza Książęca Mość znajdziesz kogoś...

— O! Mój Panie, — zawołał ksiązę przerywając Paskalowi, — wiadomo ci dobrze, że

w obecnej chwili przesilenia finansowego, i że dla wielu innych przyczyn które panu znane są równie dobrze jak mnie samemu, Pan jesteś jedyną osobą mogącą się podjąć takiej operacji.

— Pierwszeństwo jakie mi Wasza Cesarska Wysokość oddajesz, pochlebia mi i zaszczyt mi przynosi, — odpowiedział pan Paskal głosem szyderskiej wdzięczności, — dla tego też podwójnie żałuję, że nie mogę mu zadosyć uczynić.

Księżę uczuł szyderstwo, i odpowiedział udając obrazę że nie poznano się na jego życzliwości:

— Jesteś Pan niesprawiedliwy... Dowodem tego, że pragnąłem przedmiot ten z Panem załatwić jest to, że nie chciałem nawet wysłuchać propozycji domu Durand.

— Jestem prawie pewny że to kłamstwo, — pomyślał Paskal, — ale mniejsza o to... ja te rzeczy wyjaśnię; zresztą dom ten niepokoi mnie, a częstokroć nawet stawa mi na zawadzie. Ale dzięki temu złodziejowi Marcellange, posiadam na szczęście środki zaradzenia na przyszłość podobnej niedogodności.

— Drugim jeszcze dowodem, że chciałem

bezpośrednio, osobiście traktować z tobą Panie Paskal, — mówił dalej książę z wyrazem pewnego poważania, — jest to, że nie chciałem żadnego pomiędzy nami pośrednika, będąc pewnym że się porozumiemy, że się porozumieć musimy... Tak jest, — dodał głosem coraz więcej zachęcającym, — spodziewałem się, że ta sprawiedliwa cześć... oddana finansowym zdolnościom Pana, tak powszechnie znanym...

— Ah! Mości Książę...

— Charakterowi Pana tak słusznie szanowanemu...

— Wasza Cesarska Wysokość obsypujesz mnie łaską swoją.

— Spodziewałem się, mówię, Kochany Panie Paskal, że proponując Panu otwarcie, co takiego? operacją, której pewność i korzyści sam uznajesz, potrafisz Pan ocenić wyznaję szczerze, potrafisz Pan ocenić krok mój, jako uczyniony więcej do człowieka prywatnego niż do finansisty... Spodziewałem się nadto upewnić Pana o korzyściach pieniężnych i o szczególnych dowodach mego szacunku i wdzięczności.

— Wasza Cesarska Mość...

— Powtarzam jeszcze, Kochany Panie Pa-

skal... *wdzięczności mojej* .. gdyż obok wybornej operacyi, wyświadczyłbyś mi Pan znakomitą usługę... gdyż... Pan nie uwierzysz jak ważne mogą być dla mojej rodziny... skutki pożyczki której od Pana żądam.

— Nie wiedziałem... że Wasza Cesarska Wysokość....

— A kiedy Panu mówię o interesie familijnym, — wtrącił książę przerywając Paskalowi, którego spodziewał się już zjednać dla siebie, — kiedy Panu mówię o interesie familijnym, to jeszcze nie dosyć: ważna kwestya polityczna łączy się z odstąpieniem księstwa które mi ofiarują, a którego nabyć nie mogę bez potężnej pomocy Pana: zatem wyświadczając mi osobistą przysługę, stajesz się Pan użytecznym memu narodowi... a wiadomo ci, kochany panie Paskal jak wielkie mocarstwa wypłacają się za usługi oddane ich tronowi...

— Racz Wasza Książęca Mość przebaczyć mi moję niewiadomość, ale ja nic a nic o tem nie wiem.

Książę uśmiechnął się, umilkł na chwilę, poczem dodał głosem, któremu sądził, że nie już oprzeć się nie zdoła:

— Mój kochany Panie Paskal, czy znasz sławnego bankiera *Torlonia*?

— Z nazwiska, Mości Książę.

— Czy wiesz o tem... że jest księciem?

— Księciem?—powtórzył Paskal z zadziwieniem.

— Mam go... — pomyślał książę, poczem rzekł głośno, — wielkim dygnitarzem, kawalerem najznakomitszych orderów?

— Czy to być może?

— Nie tylko, że to być może, ale tak jest rzeczywiście, kochany Panie Paskal. Otóż nie widzę dla czego by nie uczyniono dla Pana tegoż samego, co uczyniono dla P. *Torlonia*?

— Jakto? Wasza Cesarska Wysokość?

— Mówię... — powtórzył książę z pewnym przyciskiem,—mówię, że nie widzę dla czego by i Pana nie miano wynagrodzić znakomitym tytułem i wysokimi dostojeństwami?

— Mnie, Mości Książę?

— Pana.

— Ja,... ja miałbym zostać *księciem Paskal*?

— Dla czegożby nie?

— Co znowu... Wasza Cesarska Wysokość chcesz sobie żartować ze swego biednego sługi.

— Nigdy nikt nie powątpiewał o moich obietnicach;.. a jeżeli Pan sądzisz, że byłbym zdolnym żartować sobie z Pana... obrażasz mnie takim podejrzeniem.

— W takim razie, Mości Książę, ja pierwszy żartowałbym z siebie samego... i to bardzo głośno, bardzo wesoło, i zawsze, gdybym się ubiegał za tytułami. Widzi Wasza Cesarska Wysokość, ja jestem tylko biednym plebejuszem... (mój ojciec był prostym handlarzem), odłożyłem sobie kilka groszy na oszczędność, prowadząc moje drobne interesa i mam tylko mój zdrowy rozum, a ten nie pozwoli mi nigdy przerobić się na *Margrabiego de la Janotière* (jest to bardzo ładna powiastka Woltera, trzeba ją Waszjej Cesarskiej Wysokości przeczytać!) i to na pośmiewisko tych złośliwych ludzi, którym się podoba czasami obsypywać podobnemi tytułami nasz świat biedny.

Książę nie przypuszczał nawet, ażeby go mogła spotkać odmowa tego rodzaju: nie stracił przecież odwagi i rzekł głosem wzruszonym:

— Panie Paskal, lubię tę szczerą otwartość, lubię taką bezinteresowność. Dzięki Bogu,

są inne środki okazania Panu méj wdzięczności, a z czasem i mojej przyjaźni.

— Przyjaźni Waszój Cesarskiej Wysokości... dla mnie?

— Tak, bo wiem co ona jest warta, — odpowiedział książę z godnością, — i dla tego Panu przyjaźń swoją zapewniałem... jeżeli...

— Przyjaźń, Waszój Cesarskiej Wysokości... dla mnie? — zawołał Pan Paskal przerywając księciu. — Przyjaźń Waszój Cesarskiej Wysokości, ... ze mną... ze mną, który, jak źli ludzie mówią, stokroć pomnożyłem moje szczupłe mienie środkami wątpliwymi, pomimo że wyszedłem biały jak gołąb z tych wszystkich czerniących oskarżeń?

— Dla tego właśnie, że jak Pan mówisz, wyszedłeś czystym z tych wszystkich oszczerstw, któremi prześladują każdego co się wzniesie swoją pracą i własną zasługą, zapewniam Panu moję życzliwą wdzięczność, jeżeli mi Pan wyświadczysz tę ważną usługę której od ciebie żądam.

— Mości Książę, jestem nadzwyczajnie wzruszony, dobroć Waszój Cesarskiej wysokości pochlebia mi bardzo... ale na nieszczęście... interes... zawsze jest interesem, — rzekł Paskal

podnosząc się z krzesła, — nasz zaś interes któryśmy zawrzeć z sobą mieli, nie trafia do mojego przekonania... co będzie dostatecznym dla Waszój Cesarskiej Wysokości dowodem, ile mnie to kosztuje, że przymuszony jestem wyrzec się przyjaźni o której Książę Pan łaskawie zapewnić mnie raczyłeś.

Na tę odpowiedź obejmującą w sobie gorzkie i upokarzające szyderstwo, książę już był gotów wybuchnąć; ale pomyślawszy o wstydzie i bezużyteczności podobnego uniesienia, powściągnął się jeszcze, zamierzył ostatniego chwycić się środka; w tym celu rzekł głosem wzruszonym.

— Więc... Panie Paskal... ludzie powiedzą... że pana prosiłem... błagałem... zaklinałem nadaremnie.

Te słowa: *prosiłem... błagałem... zaklinałem...* wymówione z bolesną szczerością, zdawały się wzruszać Paskala i rzeczywiście uczyły na nim pewne wrażenie; dotąd jeszcze książę nie poniżył się jeszcze tak dalece; lecz widząc tak znakomitą osobę, po tylu odmowach, zniżającą się aż do prośby... do pokornego błagania... pan Paskal doświadczył zło-

śliwój radości, z której w obecnej chwili podwójnie się cieszył.

Książę, widząc go milejącym, myślał że wzruszył już nareszcie jego postanowienie, i dla tego dodał skwapliwie.

— A więc... kochany Panie Paskal, nie nadaremnie... odwołałem się do wspaniałomyślności twego serca.

— Rzeczywiście, — odpowiedział złośliwy człowiek, który, widząc że operacja była dobra, skłaniał się do niej w duszy, pragnąc tylko odnieść z niej korzyść i zemstę... — rzeczywiście, Wasza Ceserska Wysokość, masz szczególny sposób wystawiania rzeczy;... interesa, powtarzam to, powinny tylko być interesami... a tymczasem, mimowolnie, jak dziecię jakie pozwalam się kierować memi uczuciami... prawdziwie... ja zanadto jestem słaby...

— Więc Pan przystajesz! — zawołał książę uradowany; i, w pierwszej chwili radości swojej, serdecznie uściskał dłonie finansisty. — Pan przystajesz... mój zacny i dobry Panie Paskal!...

— Jakże się oprzeć Waszej książęcej Mości?

— A więc zgoda!... — zawołał arcyksiążę

oddychając z głębokiem uradowaniem, jak gdyby największy ciężar spadł z jego duszy.

— Tylko... Wasza Cesarska Wysokość, — dodał pan Paskal, — pozwoli mi jeszcze dołożyć jeden mały warunek...

— O! jeżeli tylko o to idzie; niechaj on będzie jaki chce, naprzód go przyjmuję.

— Wasza Cesarska Wysokość... więcej może przyrzekasz aniżeli się tego spodziewasz.

— Jakto, co Pan mówisz? — zawołał ksiązę głosem niespokojnym, — o jakim to warunku wspominasz Pan jeszcze?

— Od dziś za trzy dni... o tejże samej godzinie... oznajmię go Waszój Cesarskiej Wysokości...

— Co! — rzekł ksiązę zdumiony i zmieszany nadzwyczajnie, — nowa odwłoka... dla czegoż to... nie dajesz mi więc Pan słowa swojego?

— Za trzy dni... Mości Ksiązę.. dam je ostatecznie... jeżeli Wasza Cesarska Wysokość warunek mój przyjmujesz...

— Ale jakież jest ten warunek... wymień mi go Pan teraz...

— Niepodobna... Mości Ksiązę.

— Mój kochany Panie Paskal...

— Mości Ksiązę, — odpowiedział spekulant

głosem ucinanym i szyderskim, — nie mam wcale zwyczaju .. rozczulać się dwa razy na jednym posiedzeniu . . Oto już godzina w której mam się stawić na innem miejscu... na przedmieściu Saint Marceau, więc mam zaszczyt złożyć moje najpokorniejsze uszanowanie Waszój Cesarskiej Wysokości.

— Pan Paskal zostawiając księcia bardzo niezadowolonym i w największej obawie, zbliżył się do drzwi i już miał wychodzić, gdy w tem odwrócił się jeszcze i powiedział:

— Dziś poniedziałek... więc we czwartek o godzinie jedenastej będę miał zaszczyt zobaczyć się z Waszą Cesarską Wysokością i przedstawić ów warunek.

— Dobrze Panie, we czwartek.

— Pan Paskal uklonił się z uszanowaniem i z uśmiechem na ustach wyszedł z gabinetu.

Gdy przechodził przez salę służbową, gdzie się znajdowali adjutanci, wszyscy powstali z czcią, znając ważność osoby którą książe przyjmował u siebie. Pan Paskal uklonił im się lekko głową, jak gdyby był ich protektorem i wyszedł z pałacu tak jak wszedł do niego, z rękoma w kieszeniach, nie odmówiwszy sobie jednak przyjemności (człowiek ten nie

zaniedbywał niczego) zatrzymać się chwilę przed szwajcarem do którego powiedział:

— A cóż! czy mnie poznasz.. na drugi raz?

Odźwierny zmieszany nadzwyczajnie, ukłonił mu się nisko i odpowiedział nieśmiało:

— O! nie omylę się już nigdy... Racz Pan łaskawie przebaczyć...

— Już mnie błaga, — rzekł Paskal półgłosem z gorzkim i szyderskim uśmiechem, — oni tylko błagać umieją — poczynając od tego wielkiego pana aż do jego odźwiernego.

Pan Paskal, wyszedłszy z pałacu Elisée zatopił się w smutnych myślach o tój młodej dziewczycy którą podchwycił na tajemnicy z hrabią Franciszkiem de Neuberg. Chcąc się dowiedzieć czy rzeczywiście mieszkała w domu przyległym do pałacu, postanowił już zasięgnąć w tój mierze wiadomości, lecz zastanowiwszy się że może narażałby na jakie niebezpieczeństwo swoje zamiary, postanowił dopiąć celu swojego z całą rozwagą i zaczekać aż do wieczora.

Spostrzegłszy w tój chwili niezajętą dorózkę, zawołał na stangreta i wsiadł do powozu, mówiąc do niego:

— Na przedmieście Saint-Marceau, Nr. 15
do wielkiej fabryki, której komin widać z ulicy.

— Do fabryki Pana Dutertre? Wiem, obywatelu, wiem; cały świat ją zna doskonale...

I spiesznie ruszył z miejsca.

ROZDZIAŁ IV.



an Paskal, jakeśmy już powie-
dzieli, przepędził część swego
życia w położeniu więcej jak
podrzednem i krytycznem, zno-
sząc najdotkliwszą wzgardę z cierpliwością
pełną zemsty i nienawiści.

Zrodzony z handlarza obnoszącego towary,
który skutkiem wielkiej wstrzemięźliwości
i spekulacyj nieprawych lub wątpliwych uzbie-
rał sobie pewną sumkę, rozpoczął swój zawód
jako posługacz pewnego lichwiarza z pro-
wincyi, któremu jego ojciec powierzył był
swój fundusz. Pierwsze więc lata naszego

bohatera upłynęły w służbie równie ciężkiej jak upokarzającej; jednakże ponieważ obdarzony był bystrzym pojęciem i wielką zręcznością, ponieważ rzadki upór woli umiał w potrzebie nagiąć się i zniknąć zupełnie pod powierzchownością podłego pochlebstwa, co koniecznie wyniknąć musiało z służalstwa w jakim zostawał, Paskal nauczył się sam, bez wiedzy swego pana, czytać, pisać i rachować; zdolność do rachuby finansowej rozwinęła się w nim nagle, prawie w sposób cudowny. Przeczuwając jej ważność, pytał samego siebie, czyby nie mógł ukrywając ją, uczynić ją dla siebie korzystną a zarazem niebezpieczną bronią przeciw swemu pryncypałowi którego nienawdził. Po dłuższej i głębokiej rozwadze, uznał pożytecznym dla siebie pokazać swą naukę potajemnie nabytą; lichwiarz zdumiony zdolnością posługacza, uczynił go swoim buchhalterem, powiększył nieco jego szczupłą pensyjkę, nie zaniedbując przytęm traktować go jeszcze gorzej jak dawniej, ażeby mu nie pokazać jak ważnemi były jego nowe obowiązki. Paskal gorliwy i niezmordowany w pracy, niecierpliwy i pragnący szybko rozszerzyć swoje wiadomości finansowe, znosił obojętnie obelgi

któremi go obsypywano, podwajając swoje usłużność w miarę jak jego pryncypał podwajał surowość swą i wzgardę.

Po kilku latach w ten sposób¹przepędzonych, czuł się już dosyć usposobionym ażeby porzucić prowincyę i wystąpić na scenę godniejszą swoich zdolności; w imieniu swego pryncypała zawiązał korespondencyę z pewnym bankierem Paryżkim, któremu usługi swoje ofiarował; ten mogąc już od dawna ocenić Paskala, przyjął jego propozycyę, jakoż buchalter nasz opuścił swoje miasteczko z wielkim żalem swego dotychczasowego pryncypała, który chciał go jeszcze zatrzymać u siebie, zapewniając mu pewien udział w swoich korzyściach, ale to już było zapóźno.

Nowy zwierzchnik Paskala był głową jednego z tych domów bogatych, upadłych moralnie, lecz (co nie rzadko się zdarza) uważanych, mówiąc językiem handlowym, za nieskazitelne; gdyż jeżeli domy takie oddają się operacyom które niekiedy wyrównywają podstępowi, zdradzie, jeżeli się bezkarnie zbogacają zręcznemi bankructwy, to jednakże z *honorem* odpowiadają *swemu imieniu*, chociaż utraciły swój honor w szacunku ludzi uczciwych.

Żarliwi zwolennicy tego pięknego axi-
matu który całą określa epokę temi wyrazy:
staraj się zostać bogatym, tacy panowie dumnie
rozsiają się w izbach, śmiało przybierają so-
bie fałszywe przezwisko ludzi *honorowych* i ma-
rzą o ministerstwie... Czemużby nie?

Pan Tomasz Rousselet, naczelnik téj złoco-
nej jaskini (było bowiem jeszcze dwóch czy
trzech współników Rousselet), był prawdziwym
uosobieniem egoizmu, zuchwałości szkatuły,
próżnej i nieubłaganej arystokracji talara, i wy-
kształcił się w podejrzanych miejscach bursy
i w zbiegowiskach wszelkiego rodzaju hańbią-
cych towarzystw. Tyle wychwalany zbytek da-
wnych jeneralnych dzierżawców, był nędzą
obok przepychu pana Tomasza Rousselet, a pa-
ni Tomaszowa brzydota rażącej i nieznośnej,
wydawała po pięćset luidorów miesięcznie na
swą toaletę i kwiaty... Ona tak lubiła kwiaty!

Paskal przeniesiony do tego domu szalenie
i bezczelnie zbytkownego, doświadczał upo-
korzeń zaprawionych większą jeszcze goryczą
i cierpieniami, jak u swego starego lichwiarza
na prowincyi, który obchodził się z nim wpra-
wdzie jak z nędznym robotnikiem, ale z któ-

rym miewał częste i prawie familijne stosunki, jakie wspólność pracy między nimi zawiązała.

Daremnie przyszłoby szukać w najpyszniejszej i najwięcej może dającą się usprawiedliwić starożytnością dumie szlacheckiej, w najzaciętszej próżności arystokratycznej czegoś podobnego do téj wzdury z jaką Rousseletowie obchodzili się z podrzędnymi sobie osobami, które zawsze w największem trzymali od siebie oddaleniu; zamknięci w swoich ponurych biurach, z których widzieli blask przepychów pałacu Rousselet, pracownicy tego domu znali tylko jak z podania, jak z legend bajecznych, fantastyczne dziwa tych salonów, téj sali jadalnej, z której zostali z pogardą wyłączeni przez pychę pani Tomaszowej, która równie była dumną, równie odgrywała rolę pierwszej damy jak pierwsza jaka pokojówka księżnej *Lotaryngii* lub księżnej *Rohan*.

Jakkolwiek nowego rodzaju, jednak upokorzenia te nie mniej były dotkliwe i bolesne dla Paskala; czuł tu bowiem więcej jak gdziekolwiek swą nicość, swoją zależność, i jarzmo bogatego bankiera daleko więcej go dolegało jak dawne jarzmo lichwiarza; lecz bohater nasz wierny swemu systemowi, ukrywał swe rany,

uśmiechał się na odbierane ciosy, lizał stopę która go czasami obryzgać raczyła, podwajał pracę, naukę, przenikliwość i nauczył się nareszcie w praktyce domu Rousselet tego, co uważał za prawdziwą tajemnicę interesów, słowem nauczył się:

„Jak najmniejszą ilością pieniędzy, zarabiać jak na jwiększe summy, wszelkiemi możliwemi sposobami, chroniąc się tylko policyi poprawczej i sądów kryminalnych.“

Pole było obszerne, można więc było dowolnie na niem harcować.

Tym sposobem pięć czy sześć lat upłynęło; umysł wzdryga się na samą myśl, ile to zemsty, nienawiści, gniewu, żółci, jadu, musiało się zebrać w głębi téj duszy mściwej z zimnem wyrachowaniem i zawsze spokojnej powierzchownie jak czarna i ponura powierzchnia błotnistej kałuży.

Pewnego dnia Paskal dowiedział się o śmierci swego ojca.

Oszczędność biednego handlarza znacznie powiększona zręcznemi obrotami lichwiarskiemi dosięgła summy dosyć wysokiej; zostawszy panem tego kapitału i uzbrojony swoją czynnością, śmiałością, rzadką zręcznością kiero-

wania interesami, albo raczej brania gdzie można, Paskal zaprzysiągł na własny honor że dojdzie do wielkiego majątku, choćby mu nawet przyszło dla prędszego osiągnięcia celu (zawsze trzeba coś ryzykować), w razie potrzeby zboczyć nieco z prostej drogi prawości.

Jakoż dotrzymał ślubu. Opuścił najprzód dom Rousselet; potem, zręczność, przypadek, podejście, szczęście, zdrada i uceziwość ówczesnej epoki przyniosły mu znaczne summy; zapłacił gotówką przyjaźń pewnego ministra, który uwiadamiając go z tkliwą pieczołowitością, postawił go w możliwości prowadzenia gry giełdowej na trzydziesty i czterdziesty procent, i dopomógł mu do zebrania w krótkim czasie około dwóch milionów; nie długo potem pewien spekulant angielski, człowiek nadzwyczajnie hazardowny, lecz rozumny, wystawił mu możliwość zebrania ogromnych korzyści skutkiem śmiałego rzucenia się na operacye kolei żelaznych, będących jeszcze wtedy nowością w Anglii; Paskal udał się do Londynu, umiał korzystać z zapału który podówczas niesłychane przybrał rozmiary, cały swój majątek postawił na tę nową grę kości i zrealizowałszy wszystko w właściwym czasie, powrócił

do Francji z dziewięciu czy dziesięciu milionami. Wtedy, równie rozważny, równie zimny jak dawniej hazardowny, przy wielkich swoich zdolnościach finansowych, myślał już tylko o ciąglem powiększeniu tego nadspodziewanego majątku, i korzystając z każdej sposobności z rzadką zręcznością, powiodło mu się to zupełnie. Przy znacznym majątku prowadził życie dostatnie i wygodne nie oszczędzając niczego jeśli szło o zaspokojenie zmysłów, lecz nie udając żadnego zbytku ani w domu ani publicznie, zwłaszcza że zawsze stołował się w oberży. Tym sposobem wydawał zaledwie piątą część swoich dochodów, a te, corocznie obracane na kapitał, zwiększały ustawicznie jego majątek, który przy zręcznych obrotach wzrastał nadzwyczajnie.

Wtedy to przyszedł dla tego człowieka wielki i straszny dzień odwetu. Ta dusza stwardniała przez tyle lat w upokorzeniu i nienawiści, została nieubłaganą i znajdowała okrutną rozkosz jeśli tylko mogła dać uczuć innym cały ciężar tego srebrnego jarzma które sama tak długo dźwigała.

Najwięcej go zawsze bolały zależność, służebnictwo, zupełne wyrzeczenie się samego

siebie, będąc przymuszonym tak długo znosić bez szemrania surowość i wzgardę swoich pryncypałów.

To też, największem jego upodobaniem było dać uczuć tę zależność innym; jednych dręczył używając ich usług w każdej chwili ich życia, drugich dręczył korzystając z ich potrzeb koniecznych, czyniąc się niejako godłem *pieniędzy* w tym wieku przedajnym i trzymając tym sposobem w swoim ręku każdego, poczynając od drobnego kupca towarów, aż do najznakomitszych osób książęcych rodzin, które musiały się nie raz zniżać do proszenia go o udzielenie im pożyczki.

Ten okrutny despotyzm jaki człowiek udzielający pożyczkę wywierać może na tego który ją zmuszony koniecznością przyjmuje, podał Paskalowi sposobność wykonywania go z tem wyrachowaniem i upodobaniem jakim tylko największe barbarzyństwo natchnąć człowieka może.

Mówiono już wiele o władzy jaką *Szatan* na dusze wywiera. Jeżeli przypuścimy istnienie jego, to pan Paskal mógł jeżeli nie więcej, to przynajmniej tyleż dusz dręczyć jak sam Szatan.

Ktokolwiek dostał się raz w jego ręce, czy

to drogą kredytu, czy pożyczki, czy wreszcie przez spółkę, udzielane zwykle z zupełną życziwością, a częstokroć nawet z pozornymi oznakami wspaniałomyślności (zawsze przecież za pewną rękojmią moralną lub materyalną) wtedy biedna ofiara zależała zupełnie od niego, zaprzedała swą duszę *Paskalowi-Szatanowi*.

Przystępował on do tego rodzaju układów z piekielną zrećnością.

W chwilach przesilenia handlowego, kiedy kapitały albo zupełnie znikaly, albo też wychodziły tylko na jaw za ogromnym procentem, kupcy najrzetelniejsi, najpewniejsi nawet, znajdowali się w krytycznem położeniu, częstokroć w stanie bliskim bankructwa. Pan Paskal, dokładnie uwiadomiony o wszystkim, i będąc pewnym zwrotu udzielonych forszusów albo towarem albo też materyałem exploatowanym, wyświadczał usługi swoje za procent niesłychanie umiarkowany jak na chwilowe okoliczności, lecz zawsze za procent nader dla siebie korzystny; w każdym atoli razie zamieszczał wyraźny warunek że zwrot udzielonego zasilku nastąpić powinien na każde jego wezwanie, nadmienając tylko ustnie, że z prawa tego korzystać nie będzie, skoro lokacya jawne przed-

stawia dla niego korzyści. Tym sposobem majątek jego ciągle wzrastał, a jakkolwiek przy szczupłych swoich potrzebach nigdy nie mógł potrzebować natychmiastowego zwrotu jakich pięćdziesięciu lub stu tysięcy franków, jednakże w wyrachowanym dziwactwie swoim, nikomu nie pożyczył pieniędzy inaczéj jak tylko z tem wyraźnem zastrzeżeniem, że kapitał zwrócony mu zostanie na pierwsze wezwanie.

Wybór był okropny dla tych nieszczęśliwych których Szatan-Paskal pokusił: z jednej strony upadek zakładu aż dotąd kwitnącego, z drugiej, pomoc niespodziewana i oparta na warunkach tak łagodnych, że ją raczej można było poczytać za wspaniałomyślną przysługę; słowem, zupełna prawie niemożność znalezienia gdzie indziej kapitału, choćby nawet za cenę szaloną, połączona z tem zaufaniem jakim pan Paskal natchnąć umiał, czyniła pokusę tę dla każdego niezwalczoną, zwłaszcza kiedy arcymilioner zdołał pochlebną życzliwością swoją wmówić w ofiarę, że pragnie tylko jak druga opatrność iść w pomoc ludziom uczciwym i pracowitym.

Otóż, wszystko sprzysięgało się dla ujęcia i odurzenia nierozważnych; skoro przyjęli warunki;... Paskal ich *opętał*.

Zaciągnawszy dług znakomity, którego nagły zwrot mógł ich wtrącić na nowo w rospaczliwe położenie z którego niedawno co wyszli, jeden tylko cel mieli: podobać się panu Paskalowi... jedną obawę: nie zasłużyć sobie na niezadowolenie pana Paskala, który samowładnie ich losem rozrządzał.

Częstokroć nie od początku zaraz używał swej władzy, i skutkiem wyrachowania jakiejsz szyderskiej złośliwości, zaczynał od odgrywania roli człowieka poczciwego, dobroczyńcy, napawając się z ironicznym zadowoleniem błogosławieństwami które go obsypywano, jak gdyby chciał przedewszystkiem ofiary swoje przyzwyczaić do błędu w jakim zostawały; później dopiero, nieznacznie, stosownie do humoru lub kaprysu swego, objawiał się stopniowo, wystrzegając się zawsze groźby, surowości lub gniewu, a udając tylko słodko-zdradliwą życzliwość, która, skutkiem samego przeciwieństwa stawała się nie raz przerażającą. Okoliczności pozornie nie nieznaczające, drobiazgowo, przedstawiały mu tysiączne sposobności dręczenia osób które w swojej uciążliwej trzymał zależności.

Tak na przykład: przybywa do jednego

z swoich *lenników*; ten miał właśnie wyjeżdżać z żoną i dziećmi na jakąś wesołą uroczystość familijną do której się już od dawna przysposabiał.

— Przybywam do was bez ceremonii na obiad, moi dobrzy przyjaciele, — powiada.

— O! mój Boże, co to za szkoda, kochany Panie Paskal! Dziś są imieniny mojej matki, i jak Pan widzisz, wybieramy się właśnie w podróż.

— Rzeczywiście, jaka to wielka szkoda, a ja się spodziewałem z wami cały wieczór spędzić.

— I dla nas także, panie Paskal, wielką będzie przykrością pozbawić się tej przyjemności.

— Ej!... możecie poświęcić dla mnie tę uroczystość familijną... toć matka wasza nie umrze bez tej zabawy.

— O! Panie Paskal, to być nie może; byłoby to pierwszy raz od czasu naszego małżeństwa, gdybyśmy mieli opuścić tę zabawę familijną.

— Co tam, wy to dla mnie zrobicie.

— Ale Panie Paskal...

— Ja, powiadam, że to zrobicie dla waszego poczciwego Paskala, nie prawdaż?

— Chcielibyśmy z całego serca... lecz...

— Ah!... odmawiacie więc... *dla mnie*... pierwszej drobnotki której od was żądam?...

I Pan Paskal wymówił te wyrazy: *dla mnie*, z takim wyrazem, że cała familia zadrżała; *uczula* bowiem, jak to mówią powszechnie, *swego pana*, i, nie rozumiejąc wcale tego dziwnego kaprysu, poddawała mu się ze smutkiem, ażeby nie rozdrażnić tego groźnego człowieka, w którego rękę zostawał los całej rodziny. Poświęcano mu się tedy, z uśmiechem na ustach, z udaną wesołością, starając się pokryć żal po chybionej uroczystości familijnej; ale już dziwny jakiś smutek zaczynał chwycić ich za serca, a zaimprovizowany obiad był smutny, wymuszony. Pan Paskal dziwił się w słodkich wyrazach temu pomieszaniu i wzdychając użalał się pocichu.

— Jakto, — mówił, — ja wam przeszkodziłem: gniewacie się na mnie, niestety! widzę ja to dobrze.

— My, Panie Paskal, — odpowiadali nie-szczęśliwi z coraz większą niespokojnością; cóż Pana podobną myślą natchnąć mogło?

— O! ja się nie mylę, widzę doskonale... *czuje*... bo serce moje mi to powiada... Ah! otóż to świat... Zawsze to jest wielkiem uchybie-

niem doświadczać przyjaźni, nawet w rzeczach najdrobniejszych... gdyż one służą niekiedy za miarę większych... A ja... ja... co liczyłem na was jak na prawdziwych przyjaciół... Znowu może nowy zawód.

I Szatan-Paskal zakrywał oczy ręką, wstał od stołu, i wychodził z domu z twarzą smutną, zachmurzoną zostawiając swoje nieszczęśliwe ofiary w najcięższej obawie... Gdyż jeżeli już nie wierzy w ich przyjaźń, jeżeli ich sądzi być niewdzięcznymi, może z każdą chwilą pograć ich w przepaści żądać niezwłocznie zwrotu pieniędzy ofiarowanych z taką wspaniałomyślnością... tylko wdzięczność której się od nich spodziewał, może im zapewnić ciągłą jego pomoc.

Rozszerzyliśmy się nad temi drobiazgami, a jednak, jak czytelnik domyśla się zapewne, w skutkach swoich tak ważnemi, dla tego tylko, ażeby podać pierwszą próbkę udręczeń któremi pan Paskal prześladował swoje ofiary... Z nich łatwo się już domyślić wszystkich stopni katuszy na jakie gotów je był wystawić, kiedy tak mało znaczący wypadek jak uroczystość familijna chybiona, przedstawiała tyle po-

karmu dla jego wyrafinowanego barbarzyństwa.

Był to prawdziwy potwór... prawda. Na nieszczęście, bywają Nerony na każdą skalę i w każdej epoce; zresztą, człowiek ten nie byłby nigdy dosięgnął tego stopnia przewrotności, gdyby nie zgubny przykład, gdyby nie te krzywdy i żale zbierające się od tak dawna w jego duszy, które napoiła jego serce poniżająca zależność od innych.

Wyraz *odwet* nie usprawiedliwia jego okrucieństwa; objaśnia je tylko. Rzadko się zdarza ażeby człowiek był lub został złym bez przyczyny... Złego prawie zawsze rodzicielem jest *złe*. ;

Określiwszy w ten sposób pana Paskala, wyprzedzimy go na godzinę czasu do pana Karola Dutertre.

ROZDZIAŁ V.



fabryka pana Dutertre, przeznaczona do wyrabiania machin dla kolei żelaznej, zajmowała ogromny gmach na przedmieściu Saint-Marceau, którego wysokie kominy ceglane ciągle ziejące dymem, zdaleka ją pokazywały.

Pan Dutertre i jego rodzina mieszkali w małym pawilonie przedzielonym ogrodem od głównego gmachu fabrycznego

W chwili kiedy naszego czytelnika wprowadzamy do tego skromnego mieszkania, panował w nim jakiś ruch uroczysty; zdawało się, jak gdyby się tu przysposabiano do jakiegoś

gościnnego przyjęcia; młoda i czynna służąca kończyła właśnie nakrywać do stołu w małej sali jadalnej wychodzącej na ogród, przyległej do porządnej kuchni która oddzielona była od sieni oknem opatrzonem w szyby malowane; stara kucharka krzątała się z wielkiem zajęciem po tem laboratorium gastronomicznem z którego wydobywały się rozmaite nęcące zapachy, które niekiedy napępniały nawet salę jadalną.

W salonie, zastawionym orzechowemi meblami pokrytymi żółtym utrechtskim aksamitem z białemi frankami, inne czyniono przygotowania; dwa białe porcelanowe wazony, ozdabiające komin, napełniono świeżemi kwiatami; pomiędzy temi dwoma wazonami, zamiast zegaru, stała mała lokomotywa w miniaturze, prawdziwe arcydzieło mechanizmu i roboty ślusarskiej, na czarnym postumencie tego klejnociku z żelaza miedzi i spiżu wyryte były wyrazy:

Panu Karolowi Dutertre

Jego wdzięczni robotnicy.

Teniers lub Gérard Dow byliby utworzyli piękny obraz z grona osób znajdujących się wtedy w salonie.

Starzec ślepy, z twarzą czcigodną i smętną, otoczoną długim siwym włosem spadającym

na jego ramiona, siedział w wygodnem krześle i trzymał dwoje dzieci na kolanach, małego trzyletniego chłopczyka i pięcioletnią dziewczynkę, dwoje aniołków pełnych powabu i wdzięków; chłopczyk, rumiany brunet z wielkimi czarnymi powłoczystemi oczyma, zamysłony, spoglądał od czasu do czasu z zadowoleniem, na swoją ładną bluzę z jasnoniebieskiego kaszmiru i na swoje świeże białe majteczki; szczególnie jednak cieszył się swojemi jedwabnymi pończoszками w karmazynowe paski i safianowemi czarnemi trzewiczkami z dużemi kokardami.

Dziewczynka, imieniem Magdalena, tak nazwana na pamiątkę serdecznej przyjaciółki swęj matki, która ją nawet do chrztu trzymała, blondynka i rumiana, miała śliczne niebieskie oczy i ubrana była w białą sukienkę; ramiona jęj, ręce i nogi były obnażone; tylko na nóżkach miała krótkie pończoszki szkockie. Powiedzieć ile było dołeczków na tych ramionach, na tych rączkach, na tęg buzi pełnej, cęry tak świeżęj i czerstwęj, toby tylko potrafiła sama matka, a matka tych dwojga pięknych dzieci musiała o nich dobrze wiedzieć.

Stojąc oparta na poręczy krzesła na którem

siedział niewidomy starzec, przysłuchiwała się z tą powagą którą matka w podobnym razie zwykle okazuje, szczebiotaniu dwóch ptasząt które dziadek trzymał na swoich kolanach, a które zapewne opowiadały mu coś nader ważnego, gdyż oboje razem mówili tym dziecinnym językiem, który matki z taką przenikliwością odgadnąć umieją.

Pani Zofia Dutertre miała najwięcej dwadzieścia pięć lat wieku; chociaż twarz jej była lekko ospą naznaczona, chociaż możnaby znaleźć rysy regularniejsze i daleko piękniejsze od jej rysów, trudnoby jednakże było wyobrazić sobie twarz powabniejszą, miłszą i więcej pociągającą od jej twarzy... uśmiech słodszy od jej uśmiechu; był to prawdziwy ideał uroku i życzliwości. Śliczne włosy, zęby jak perły, cera świetnej białości, kibić piękna, uzupełniały tę powabną całość, a kiedy podniosła swoje wielkie ciemne błyszczące oczy na męża, stojącego z drugiej strony krzesła ociemniałego starca, miłość i uczucie macierzyńskie nadawało temu pięknemu spojrzeniu wyraz tkliwy i namiętny zarazem, gdyż małżeństwo Zofii i Karola Dutertre było związkiem wzajemnej obojga miłości.

Jedyny zarzut... jeżeliby można jaki zarzut

Zofii Dutertre uczynić, gdyż jeżeli była zalotną, to tylko co do ubioru swych dzieci,... była zupełna niestosowność jej własnej toalety. Suknia z materyi bez gustu i źle zrobiona, szpeciła jej piękną kibić; jej mała nóżka nie bardzo wykwintnie była obuta, a jej śliczne ciemne włosy mogły być z większym smakiem i starannością ułożone.

Szczerłość i moc duszy, rozum i dobroć, taki był wyraz rysów pana Dutertre, mającego wtedy lat dwadzieścia ośm, oczy jego żywe i pełne ognia, budowa silna i kształtna, objawiały w nim naturę czynną i energiczną. Dawny inżynier cywilny, człowiek obszernych wiadomości i praktyki, równie zdolny do rozwiązywania piórem najzawilszych zadań jak do biegłego pracowania pilnikiem, tokarnią lub młotem żelaznym, umiejący wydawać rozkazy, ponieważ sam umiał je wykonywać, ceniący, podnoszący pracę ręczną, ponieważ ją sam niekiedy odbywał, już to dla przykładu już też dla zachęcenia; prawy aż do drobiazgowości, rzetelny i ufający aż do zbytku, ojcowski i sprawiedliwy dla licznych swoich robotników; obyczajów starożytniej prostoty, gorliwy w pracy, zamięłowany w swoich wyrobach żelaznych, miedzianych

i spizowych; całe jego życie było aż dotąd podzielone pomiędzy trojakiem największym szczęściem człowieka: *miłością, rodziną, pracą.*

Karól Dutertre jedną tylko miał zgryzotę, ślepotę swego ojca, i to jeszcze kalectwo ojca służyło mu za pozór do poświęceń tak tkliwych, do pieczołowitości tak delikatnej i tak wszechstronnej, że Dutertre i jego żona starali się wzajemnie pocieszyć mówiąc do siebie, że przynajmniej mieli sposobność podwójnego dowiedzenia przywiązania swego dla starca.

Karól Dutertre, pomimo powszechnych przygotowań do uroczystości, odłożył ogolenie brody do jutra i pozostał w swoim roboczem ubraniu, to jest w bluzie z szarego płótna, poczerniałej, wypalanej i poplamionej w wielu miejscach, skutkiem rozmaitych wypadków w kuźniach swoich fabryk. Jego czoło szlachetne i wyniosłe, ręce białe i żyłaste zarazem, poczerniały nieco od dymu warsztatów. Nakoniec, w swojej pracowitej i niezmordowanej czynności, jak równie w chwilach rzadkiego wypoczynku po ciężkiej pracy, zapominał o tej wykwintności i troskliwości o własną osobę, których pewni ludzie nigdy się nie wyrzekają.

Te były osoby zebrane w skromnym salonie fabryki.

Dwoje dzieci ciągle jeszcze szczebiotało, zawsze oboje razem, starając się dać zrozumieć swemu dziadkowi, który nie mogąc tego przy najlepszych chęciach dokazać, pytał każde z nich z słodkim uśmiechem na ustach.

— Słucham już słucham... cóżem tedy mówił... mój Guciu... i ty także... moja Madziu?..

— Czy nasz kochany tłumacz zechce nam zrozumiałym językiem wyłożyć to szczebiotanie naszych dzieci? — rzekł wesoło do swjej żony Karol Dutertre.

— Jakto, Karolu, ty ich nie rozumiesz?

— Wecale ich nie rozumiem.

— Ani ty, mój ojczu,? — zapytała młoda matka starca.

— Zdawało mi się że z początku coś rozumiał, jakby *niedziela i ubranie*, — odpowiedział starzec z uśmiechem, — ale później tak się to jakoś zawikłało, że przymuszony byłem wyrzec się... zrozumieć... albo raczej odgadnąć o co im chodzi...

— A jednak mniej więcej było to właśnie toż samo; o! tylko matki i dziadkowie zdolni są

zrozumieć małe dzieci, — zawołała Zofia głosem tryumfującym.

Następnie zwcacając się do dzieci, dodała:

— Nie prawdaż, moje dzieci drogie, że mówiliście do dziadzi: „Dziś jest niedziela bo mamy nasze ładne nowe sukienki?”

Magdalena, czuła blondynka, otworzyła swoje duże oczy i schyliła główkę na znak potwierdzenia.

— Z ciebie jest prawdziwy Champollion (*) matek! zawołał Karol Dutertre, gdy tymczasem starzec powiedział do dwojga dzieci:

— Nie... dziś nie jest niedziela, moje dzieci, ale zawsze to jest dzień uroczysty.

Tu Zofia znowu musiała wystąpić i powtórnie zostać tłumaczem.

— One się właśnie pytają, dla czego to jest święto, mój ojczy?

— Dla tego że zobaczymy naszego przyjaciela... — odpowiedział starzec z uśmiechem nieco wymuszonym... a kiedy nas przyjaciel odwiedza, to zawsze jest święto, moje dzieci...

— Ale, ale... a woreczek? — rzekł Dutertre do swjej żony.

(*) Champollion sławny archeolog francuzki.

— Zobacz go, — odpowiedziała Zofia wesoło mężowi, pokazując mu na stoliku małe pudełko papierowe, otoczone różowemi wstążeczkami, — czy myślisz że jabym zapomniała o naszym kochanym panu Paskal, o naszym zacnym dobroczyńcy?

Dziadek zwracając się wtedy do małej Magdaleny, rzekł do niej całując ją w czoło:

— Oczekujemy pana Paskala... wiesz o tem... pana Paskala.

Magdalena podniosła znowu swoje duże oczy, rysy jej przybrały wyraz pewnej trwogi i wstrząsnąwszy smutnie główką, powiedziała:

— On taki zły...

— Pan Paskal!... — zawołała Zofia.

— O!... tak... — odpowiedziało dziecię.

— Ale — dodała młoda matka, — dla czegoż ty myślisz... moja Madziu kochana... że pan Paskal... jest zły?

— Co znowu Zofio, — rzekł Karol Dutertre z uśmiechem, — ty gotowa jesteś zwracać uwagę na takie dzieciństwa względem naszego zacnego przyjaciela?

Rzecz szczególna, twarz starca przybrała w tej chwili wyraz nieszpokojny, i czy to że wierzył w pewność instyktu lub przenikliwość

dzieci, czy też, że inną jaką powodowany był myślą, nie chcąc wcale żartować z słów Magdaleny, zapytał także pochylając się do niej:

— Powiedźże nam, moje dziecko, dla czegoż to pan Paskal jest zły?

Blondynka kiwnęła głową i odpowiedziała naiwnie:

— Nie wiem... ale on jest zły.

Zofia która podzielała po części myśl dziadka co do szczególnej przenikliwości dzieci, zdrzała mimowolnie. Są skryte i tajemnicze stosunki łączące matkę z istotami jój krwi; jakieś niepojęte przecucie, przeciw któremu walczyła wszystkimi siłami gdyż uważała je nieusprawiedliwionem, szalonym, mówiło jój, że instynkt jój córki nie mylił jój może względem pana Paskala, chociaż dotąd, młoda matka, nie mając najmniejszego podejrzenia co do tego człowieka, uważała go owszem, według jego czynów, jako człowieka z charakterem szlachetnym i wspaniałomyślnym.

Karol Dutertre, nie domyślając się wcale wrażeń swój żony i ojca, rzekł z wesołym uśmiechem.

— Więc ja teraz z kolei dam lekcję temu dziadkowi i tój matce, którzy mają się za tak

biegłych w rozumieniu szczebiotania i uczuć dzieci... Nasz poczciwy przyjaciel ma ręce grube, brwi gęste, brodę czarną, twarz ogorzałą i mowę opryskliwą... Otóż, nie potrzeba już więcej, ażeby sobie zarobił na tytuł człowieka *złego*, na mocy wyroku téj malutkiej blondynki.

W téj chwili młoda służąca weszła do pokoju i powiedziała do swéj pani:

— Panna Hubert... przyszła za swoją służącą.

— Antonina?... jakież to szczęście!... zawołała Zofia podnosząc się skwapliwie, ażeby wyjść na spotkanie panienki.

— Pani... — dodała głosem tajemniczym służąca, — Agata pyta się, czy pan Paskal lubi groch z cukrem czy też ze słoniną?

— Karolu! — rzekła Zofia z uśmiechem do męża, — to rzecz ważna... jakże myślisz?

— Trzeba przygotować jeden półmisek z cukrem, a drugi ze słoniną, — odpowiedział Karol z namysłem.

— Otóż to tylko matematycy umieją dobrze rozwiązywać takie zadania, — rzekła Zofia wesoło; poczem wzięwszy dzieci swoje za ręce,

dodała: — Pokażę Antoninie jak one wyrosły i wyładniały.

— Ale, spodziewam się, — zawołał pan Duterre, — że poprosisz pannę Hubert ażeby tu do nas przysła... bo inaczej, ja sam pójde po nią.

— Zaprowadzę dzieci do bony i powrócę do was z Antoniną.

— Karolu, — rzekł starzec podnosząc cię, gdy jego synowa wyszła z salonu, proszę się, podaj mi rękę.

— Jak najchętniej, mój ojczu, ale ja myślę że pan Paskal wkrótce nadejdzie.

— I ty żądasz,... ażebym ja był obecnym mój przyjacielu?

— Wszakże wiesz, mój ojczu, z jakim szacunkiem nasz przyjaciel jest zawsze dla ciebie, i jak chętnie okazuje ci zawsze cześć swoją.

Po chwili milczenia starzec odpowiedział:

— Czy wiesz, że twój dawny kassyer Marcelange, od czasu jak go odpędziłeś, często odwiedzał pana Paskala?

— Nie, mój ojczu, pierwszy raz słyszę o tém.

— Czy ci się to nie wydaje dziwnem?

— Rzeczywiście...

— Posłuchaj mnie... Karolu... ja...

— Daruj, mój ojczy, — odpowiedział Dutertre przerywając starcowi, — zastanawiam się nad tem i zdaje mi się, że nic w tem nie masz nadzwyczajnego; nie widziałem naszego przyjaciela od czasu odprawienia Marcelange'a, który wie bardzo dobrze o mojej przyjaźni dla pana Paskala; zapewne więc udawał się do niego z prośbą o wstawienie się do mnie.

— Takby to można wytłomaczyć, — rzekł starzec z namysłem. — Jednakże...

— Cóż takiego? mój ojczy...

— To wrażenie twojej córki... zastanowiło mnie nadzwyczajnie.

— Co znowu, mój ojczy, — odpowiedział Dutertre z uśmiechem, — mówisz to dla tego tylko ażeby się przypodobać méj żonie... Na nieszczęście, ona cię nie słyszy, ale opowiem jej twoje zaloty dla niej.

— Mówię to, Karolu, — rzekł starzec głosem smutnym, — gdyż jakkolwiek wrażenie twój córki zdaje ci się być dzieciństwem... dla mnie ma ono pewną wartość, i kiedy je porównam z niektórymi okolicznościami co mi w téj chwili na myśl przychodzą, jak równie z tem częstem widywaniem Marcelange'a z panem Pa-

skalem, przyznaję ci się, że mimowolnie, czuję dla niego jakąś dziwną nieufność.

— Mój ojciec... mój ojciec kochany...— odpowiedział Karol Dutertre z wzruszeniem, — mimo chęci twojej... i tylko przez przywiązanie dla mnie... zasmucasz mnie bardzo... Wątpię o panu Paskalu... wątpię o naszym szlachetnym dobroczyńcy... Ah! słuchaj, drogi ojciec... jest to pierwsze zmartwienie które mnie od dawna spotyka... Mieć podejrzenie bez żadnych dowodów... ulegać pod wpływem przelotnego wrażenia jednego dziecięcia, — dodał Dutertre z zapalem swego szlachetnego charakteru, — to niesprawiedliwie... dla tego też...

— Karolu... — rzekł starzec urażony żywością swego syna.

— Przebacz... przebacz, mój dobry i najukochańszy ojciec, — zawołał Dutertre chwytając dłoń swego ojca. — Uniosłem się... daruj mi to... ale przez chwilę przyjaźń stłumiła we mnie moje poszanowanie dla ciebie.

— Biedny Karolu, — tklawie odpowiedział starzec, — daj Boże, ażebyś ty miał słuszność, nie ja... i zamiast uskarżać się na żywość twoją, szczęśliwy z nią będę. Ale słyszę, że ktoś nadchodzi... pójdźmy, odprowadź mnie.

W chwili kiedy pan Dutertre zamykał drzwi pokoju do którego odprowadził ociemniałego ojca, panna Antonina Hubert weszła do salonu w towarzystwie pani Dutertre.

ROZDZIAŁ VI



Wszystkie pani Dabrowska
 która do którego obywatela
 ojca. panna Antonina Hubert
 w towarzystwie pani Dabrowska

ROZDZIAŁ VI.



Wierzę, że czytelnik raczy nam przebaczyć to przestarzałe, mitologiczne porównanie, ale nigdy Hebe, spełniająca obowiązki podczaszego w olimpie pogańskim, nie posiadała tyle świeżości, tyle wdzięków w swojej nadludzkiej piękności, ile ich w ziemskich powabach jednoczyła panna Antonina, której tajemnicę i miłosne porozumienie z Franciszkiem, Paskal przypadkowym odkrył sposobem.

Szczególniej zachwycała w tej dziewicy jej zaledwie rozwijająca się piętnastoletnia pię-

kność, która naiwnością swoją i wrodzonym powabem dziecię, a rodzącemi się dopiero roskoszami wdziękami, młodą panienkę przypominała; bo też to jest wiek uroczy, wiek pełen jeszcze tajemnic i czystej niewiadomości, niewinne, białe i przezroczyście zaranie, które pierwsze uderzenia nieskażonego serca szkarłatną barwą pokrywają...

Taki był wiek Antoniny: posiadała też cały powab i wszystkie wdzięki tego wieku.

Ażeby naszą Hebę więcéj ziemską uczynić, zdejmemy ją z jéj starożytnego piedestału, i osłaniając jéj piękne ciało z różowego marmuru, kształtów tak zachwycających, tak dziewiczych, ubierzemy ją w świeżą letnią sukienkę, w czarną jedwabną mantylę która otoczy jéj pierś młodzieńczą zarysów tak doskonałych i w słomiany kapelusik podszyty materią różaną jak jéj lica z pod którego wydobywają się sploty włosów jasno-szatyn, otaczające tę zachwycającą główkę cery równie białej, równie świeżéj, jak cera tych dwojga dzieci które dopiero co ucałowała.

Wszedłszy z Zofią do salonu, dziewica pokryła się lekkim rumieńcem, ponieważ posiadała jeszcze lekliwość swoich lat piętnastu;

poczem, ośmielona serdecznem przyjęciem panna Dutertre i jego żony, rzekła do téj ostatniej z pewnym rodzajem szacunku złagodzonego poufałością, jaka pomimo różnicy wieku związała się między niemi jeszcze na pensyi gdzie jednocześnie zostawały.

— Nie wiesz o szczęśliwem zdarzeniu które mnie do ciebie sprowadza, moja droga Zofio?

— Szczęśliwe zdarzenie!... tem lepiej, moja Antolko.

— List od *Świętej Magdaleny*... — odpowiedziała młoda dziewczyna, wydobywając z kieszeni kopertę.

— Doprawdy! — zawołała Zofia, zarumieniwszy się z radości i wyciągając niecierpliwą rękę po pismo.

— Jakto, Panno Antonino, — rzekł wesoło Karol Dutertre, — Pani z rajem korespondujesz... wprawdzie nie powinnyby mnie to dziwić... jednakże...

— Milcz, szyderco, — zawołała Zofia, — i nie żartuj z naszej najlepszej przyjaciółki... z mojej i Antoniny przyjaciółki...

— Nie poważę się już więcej... Z tem wszystkim, to imię, *Święta Magdalena*?...

— Jakto! Karolu? czyliż ci już tysiąc razy nie

mówiłam o mojej przyjaciółce z pensyi... o panie Magdalenie Silveyra, która, pomimo oddalenia swego, była przez zastępstwo, matką chrzestną naszej córeczki? O czemże ty myślisz?

— Przeciwnie, ja mam bardzo dobrą pamięć, moja droga Zofio; — odpowiedział Dutertre, — nie zapomniałem bowiem że ta młoda Meksykanka była piękności tak dziwnej, tak niepojętej, mówiłaś sama, że przynajmniej, tyle obudzała zadziwienia ile uwielbienia.

— Właśnie o niej to mówimy, mój przyjacielu; po mnie Magdalena *matkowała* Antoninie, jakieśmy mówiły na pensyi, gdzie każdej starszej panience poruczano jaką dziesięcio lub dwunastoletnią dziewczynkę... Dla tego też, opuszczając nasz instytut, przekazałam Antoninę przywiązaniu i troskliwości *Świętej Magdaleny*.

— Nic też innego, jak tylko to przezwisko spowodowało moją omyłkę, — odpowiedział Dutertre, — przezwisko, które przyznaję sam, wydaje mi się albo bardzo zarozumiałem, albo bardzo pokornem dla tak ładnej osoby, bo mniej więcej musi ona być w twoim wieku.

— Magdalenie dano na pensyi przezwisko *świętej*, ponieważ sobie na nie zasłużyła, Panie Dutertre, — rzekła Antonina z wielką piętnastoletnią powagą; — i przez te dwa lata w ciągu których ona mi *matkowała*, ciągle jeszcze nazywano ją *Świątą Magdaleną*, jak za bytności Zofii.

— Musiała więc być bardzo poważną dewotką, ta *Świąta Magdalena*? — zapytał Dutertre.

— Magdalena, jak wszystkie prawie osoby jój kraju, oddawała się szczególnej pobożności. Chrystus był wyłącznym przedmiotem jój myśli, a jój uwielbienie dla Stwórcy zamieniało się niekiedy w pewien rodzaj zachwycenia, — odpowiedziała Zofia. — Zresztą, łączyła ona z tą żarliwą pobożnością, charakter tkliwy, serce pełne ognia, umysł bystry i najweselszy w świecie... Ale, proszę cię, Karolu, pozwól mi przeczytać jój list... bardzo jestem niecierpliwa, jak się pewnie domyślasz;... bo to pierwszy list po dwóch latach rozłączenia! Chciałyśmy już z Antoniną gniewać się na nią za to długie milczenie; ale na pierwszy znak pamięci téj niedobrej Magdaleny, jesteśmy, jak widzisz, zupełnie rozbrojone...

I biorąc list przez Pannę Hubert przyniesiony, Zofia czytając, mówiła z pewnem rozrzwieniem:

— Droga Magdalena... zawsze tkliwa i przywiązana... zawsze dowcipna i wesola, zawsze czuła na te drogie wspomnienia przeszłości. Po kilku dniach wypoczynku w Marsylii dokąd z Wenecyi przybyła... wyjeżdża do Paryża, prawie jednocześnie z listem swoim... i myśli tylko o szczęściu oglądania Zofii, swojej przyjaciółki... i Antoniny, naszej szkolnej córeczki... pod której imieniem pisze w pospiechu do nas obu: i podpisuje się jak na pensyi:

Święta Magdalena:

— Więc ona jeszcze nie poszła za mąż? — zapytał Karol Dutertre.

— Nic o tem nie wiem, mój drogi, — odpowiedziała jego żona, — ponieważ podpisuje się tylko swoim imieniem chrzestnem.

— W rzeczy samój, — dodał Karol z uśmiechem, — nie powinienem był podobnego zadawać pytania! *święta*... miałyby pójść za mąż!

W téj chwili weszła młoda sługa do pokoju, i zatrzymawszy się na progu, skinęła na swą panię znakiem porozumienia; lecz ta uśmiechnąwszy się, odpowiedziała:

— Możesz mówić, Julio, alboż to Panna Antonina nie należy do naszej rodziny?

— Proszę Pani, — rzekła służąca, — Agata pyta się czy może kurczęta założyć na rożen, chociaż pan Paskal jeszcze nie przychodzi.

— Ma się rozumieć, — odpowiedziała pani Dutertre, — pan Paskal opóźnia się trochę, ale jestem pewna, że on lada chwila nadejdzie.

Czy się kogo spodziewasz, Zofio? — zapytała Antonina po oddaleniu się służącej, — w takim razie do zobaczenia... dodała młoda panienka z lekkim westchnieniem, — nie dla tego tylko przyszła ażeby ci pokazać list Magdaleny... chciałam jeszcze pomówić z tobą... a więc przyjdę znowu jutro do ciebie, moja droga Zofio...

— Wcale nie, kochana Antolko, użyję całej dawniej powagi macierzyńskiej ażeby moje córce zatrzymać u nas na śniadanie... Jest to pewien rodzaj uroczystości familijnej.. a twoje miejsce nie może pozostać niezajętem, moje dziecię!

— Proszę bardzo, Panno Antonino, — rzekł Karól, — uczyni pani dla nas to poświęcenie.

— Bardzo Pan jesteś dobry i uprzejmy, Panie Dutertre; ale, prawdziwie, nie mogę przyjąć.

— W takim razie, — rzekł Karol, — przymuszony będę użyć ostatniego środka, ażeby Panią u nas zatrzymać; oto, Panno Antonino, jeżeli nam Pani zrobisz tę przyjemność i zostaniesz z nami, ujrzysz człowieka szlachetnego, który sam z siebie, przyszedł nam w pomoc; dzisiaj właśnie obchodzimy rocznicę tego wspa-
niałego czynu.

Zofia, zapomniawszy o pewnym rodzaju prze-
czucia, które w niej obudziły słowa jej małej
córeczki, dodała:

— Tak jest, moja Antolko, w czasie owego
zgubnego przesilenia i krytycznej chwili w han-
dlu, pan Paskal powiedział do Karola: »Ja Pa-
na nie znam osobiście, wiem przecież, że jesteś
równie uczciwym jak zdolnym i pracowitym.
Potrzebujesz Pan pięćdziesiąt tysięcy talarów
do dalszego prowadzenia interesów, ofiaruję
je Panu po przyjacielsku... przyjmij je także po
przyjacielsku; co się tyczy warunków procent-
towych, ułożymy je później, również po przy-
jacielsku.»

— Rzeczywiście, — rzekła Antonina, — był
to szlachetny postępek.

— Tak jest, — dodał pan Dutertre głęboko
wzruszony, — gdyż nie tylko że ocalił od upad-

ku mój zakład, ale nadto podał przezto rękę pracy licznych robotników których używam... zapewnił spokojność starości mego ojca, zapewnił szczęście mojej żony, przyszłość moich dzieci... O! zostań Pani, zostań... Widok człowieka szlachetnego... to rzecz tak rzadka, tak słodka... Ale... patrzaj Pani... otoż i on, — dodał pan Dutertre, widząc Paskala przechodzącego koło okna.

— Prawdziwie, bardzo jestem wzruszona tem wszystkim coście mi Państwo oboje powiedzieli, żałuję przecież że nie mogę korzystać z towarzystwa człowieka szlachetnego, któremu tyle winni jesteście... ale śniadanie zatrzymałoby mnie zbyt długo... a ja muszę wcześniej wrócić do domu. Oczekuje mnie mój wuj, który jeszcze dzisiejszej nocy bardzo był cierpiący, i który w chwilach boleści, zawsze pragnie mnie mieć przy sobie... cierpienia zaś jego mogą lada chwila się odnowić.

Poczem wyciągnawszy rękę do Zofii, dziewczyna dodała:

— Wszakże cię wkrótce zobaczę?

— Pojutrze, moja droga Antolko przyjdę do ciebie i zabawię tak długo jak tylko sama zechcesz.

W tem drzwi się otworzyły i pan Paskal wszedł do pokoju.

Antonina ucałowała swą przyjaciółkę, która zwracając się do finansisty z serdeczną szczerością rzekła:

— Czy mi Pan pozwolisz, odprowadzić moją przyjaciółkę?... Zresztą Pan domyślasz się zapewne że powrócę z największym pośpiechem.

— Bez ceremonii, bardzo proszę, kochana Pani Dutertre, — odpowiedział pan Paskal nieśmiało, pomimo całej pewności swojej; zdumiony był bowiem nadzwyczajnie spotkaniem Antoniny, którą żadnym i ponurym wzrokiem do samych drzwi odprowadził.

W tem drzwi się otworzyły i pan Paskal
 wzedł do pokoju.
 Antonina ustowała się przyściółki, która
 wstąpiła się do łóżka i serdecznie szło-
 wała.
 — Czy mi Pan porwiesz, obywatelu mój,
 przyściółki... Nareszcie Pan dotarł się za-
 pewno za poranne z narzekaniem, prosząc
 — Bez ceremonii, bardzo proszę, Kochana
 Pani Dutertre, pan Paskal, nie

ROZDZIAŁ VII.



an Paskal, na widok Antoniny, którą już drugi raz tegoż samego poranku oglądał, został, jakżeśmy już powiedzieli, zdjęty największem zdumieniem a zarazem i uwielbieniem téj piękności tak niewinnéj, tak czystéj.

— Nareszcie! przybywasz Pan! — zawołał Karol Dutertre z serdecznem wylaniem wyciągając obie ręce do pana Paskala, gdy sami zostali w pokoju. Czy Pan uwierzysz żeśmy już zaczęli powątpiewać o twojéj słowności?... Przez cały tydzień cieszyliśmy się z żoną na dzisiejszy poranek... gdyż po rocznicy urodzin

naszych dzieci... dniem który z największem obchodzimy szczęściem, jest ten dzień, od którego, dzięki Panu, datuje pewność i bezpieczeństwo ich przyszłości. To tak dobrze, tak słodko, z wdzięcznością i sercem uczuć się godnym czynu szlachetnego, który równie zaszczyca dawcę jak i odbierającego.

Pan Paskal nie zdawał się słyszeć tych wyrazów pana Dutertre, i rzekł do niego:

— Któż to jest ta młodziutka osoba co dopiero stąd wyszła?

— Panna Antonina Hubert.

— Czy to nie krewna Prezesa Hubert, który niedawno tak ciężko chorował?

— To jego synowica...

— Ah! — zawołał Paskal z namysłem.

— Wiadomo Panu, że gdyby mój ojciec nie znajdował się w naszym gronie, — rzekł pan Dutertre z uśmiechem, — uroczystość nasza nie byłaby zupełną. Pójdę go więc zawiadomić o pańskim przybyciu kochany Panie Paskal...

I gdy postąpił parę kroków ku drzwiom prowadzącym do pokoju starca, Paskal zatrzymał go skinieniem mówiąc do niego.

— Wszakże prezes Hubert mieszka...

Ponieważ się zaś wahał z dokończeniem słów swoich, Dutertre dodał:

— Na przedmieściu Ś-go Honoryusza, w domu którego ogród przytyka do pałacu Elysée Bourbon.

— Czy ta dziewczyna dawno już mieszka u swego wuja?

Dutertre zdziwiony nieco ciekawością pana Paskala względem Antoniny odpowiedział:

— Pan Hubert przywiózł ją, będzie temu trzy miesiące z Nicei, gdzie panna Antonina pozostała po śmierci jednej z swoich krewnych.

— Więc Pani Dutertre przyjaźni się z tą młodą osobą?

— Matkowała jój jeszcze na pensyi, gdzie razem zostawały.

— Ah... dodał Paskal pogrążywszy się chwilę w nowem zamyśleniu.

Człowiek ten posiadał wielką i rzadką zdolność która się niezmiernie przyczyniła do zebrańia jego ogromnego majątku: jak z łatwością można zamykać i otwierać niektóre szufladki swego biurka, tak i on mocen był chwilowo odrywać się stosownie do woli swojej od najgłębszego zajęcia i przechodzić z obojętnością do myśli zupełnie przeciwnych tym, które

go przed chwilą jeszcze zajmowały. Tak to, po owem widzeniu się Franciszka z Antoniną, którego był dalekim świadkiem, i które tak gwałtownie go wzruszyło, odzyskał znowu całą swobodę umysłu, pozwalającą mu rozmawiać spokojnie o interesach z arcyksięciem i dręczyć go z całym wyrachowaniem złego serca.

Podobnież, po tem ostatniem spotkaniu z Antoniną u państwa Dutertre, odroczył, że tak powiemy, na później swoje gwałtowne wzruszenie i swoje zamiary względem téj dziewczyny. Myśląc tedy zupełnie o czem innem, rzekł do męża Zofii dobrodusznie:

— Zaczem twoja żona powróci, mój kochany przyjacielu, chciałem pana prosić o jedną małą przysługę.

— Nareszcie, — zawołał uszczęśliwiony Dutertre, zacierając ręce z radości; — nareszcie... lepiej późno jak nigdy!

— Wszakże u ciebie był kassyerem... niejaki Marcelange?

— Na moje nieszczęście....

— Na pana nieszczęście?

— Popęłnił on u mnie, nie mogę powiedzieć czyn nie uczciwy... bo za żadną cenę nie zasłoniłbym go od kary godnej jego występku; lecz

dopuścić się czynu niedelikatnego przy takich okolicznościach, które mnie przekonały że to jest człowiek nikezemny... i oddaliłem go od siebie.

— Marcelange mówił mi, że go Pan rzeczywiście oddaliłeś...

— Czy Pan go znasz? — zapytał Dutertre przypominając sobie słowa swego ojca.

— Kilka dni temu przyszedł on do mnie... pragnie dostać się do domu Durand...

— On? do domu tak godnego?

— Dla czegożby nie? wszakże u Pana był bardzo użytecznym.

— Ale, jakem to już Panu powiedział, kochany Panie Paskal, oddaliłem go skorom tylko poznał jego postępowanie...

— Rozumiem! lecz ponieważ się znajduje bez miejsca, wypadaloby dla umieszczenia go w domu Durand, który gotów jest przyjąć jego usługi, wypadaloby mówię, dać biednemu człowiekowi list polecający od Pana; za takim zaręczeniem, zostanie przyjęty bez najmniejszej trudności; otóż, mój kochany Panie Dutertre, przychodzę właśnie prosić cię o ten list.

Po chwili mocnego zadziwienia, Dutertre odpowiedział z uśmiechem.

— Wprawdzie, nie powinnyby mnie to wcale dziwić,... Pan jesteś tak dobry;... człowiek zaś ten jest tak przebiegły i przewrotny... on podszedł pańską życzliwość i dobrą wiarę.

— W samą rzecz, i ja sądzę, że Marcelange jest bardzo przebiegły i zręczny; jednakże ja przyszedłem koniecznie prosić Pana o tę rekomendację.

Dutertre myślał przez chwilę że nie zrozumiał dobrze, albo też że jego nie rozumiano; więc dodał:

— Daruj Pan;... ale powiedziałem Panu że...

— Że człowiek ten popełnił czyn niedelikatny; ale, ba! cóż to szkodzi.

— Jakto, Panie Paskal,... co to szkodzi? Ależ, w moich oczach, postępek tego człowieka był może jeszcze karogodniejszym jak usunięcie jakiej kwoty!

— Wierzę ci, mój zacny Panie Dutertre, wierzę zupełnie; nie masz lepszego od ciebie sędziego w sprawach honoru; Marcelange wprawdzie zdaje mi się być człowiekiem zanadto przebiegłym;... ale jeżeli ci mam wszystko wyznać, pragnę, usilnie pragnę, ażeby on ten list uzyskał od ciebie.

— Rzeczywiście, Panie Paskal, zbyt uczynna to

jest słabość. Jeszcze raz powtarzam, ten człowiek wie, że jesteś dobrym, szlachetnym, szczerym... udało mu się zająć Pana swoim losem...

— Bardzo to być może!... ja taki jestem do brotliwy!.. Koniec końcem... ja pragnę tego listu... biedak ten wart jest politowania.

— W moich zaś oczach, mój kochany i zbyt dobry Panie Paskal, człowiek ten nie zasługuje na współczucie i dla tego wygnałem go od siebie... zdawałoby mi się że nieuczciwie działam popierając z swój strony umieszczenie go w domu czcigodnym, zasługującym na wszelkie względy.

— Co znowu! uczyni to dla mnie... dla mnie.. proszę bardzo!

— Pan tego szczerze nie mówisz, Panie Paskal?

— Mówię z największą szczerością!

— Nawet po tem wszystkiem co Panu przed chwilą wyznałem?

— O! mój Boże, nie inaczej!

— Pan, Pan, sam honor, sama prawość?

— Ja, ja! honor i prawość uosobiona, ja proszę Pana o ten list.

Dutertre spojrział najprzód na Paskala ze zdumienia.

mieniem, nareszcie, po chwili zastanowienia, rzekł głosem tkliwego wyrzutu:

— Ah! Panie, po upływie jednego roku... czyliż potrzeba było takiej próby?

— Jakięj próby?

— Proponować mi czyn niegodny, celem przekonania się czy też zasługuję na ufność Pana.

— Sądzę Pana godniejszym mego zaufania niż kiedykolwiek, mój zacny Dutertre, i dowodzę ci tego, żądając od ciebie tego listu... który ma związek ze sprawą dosyć delikatną.

Pan Paskal mówił to z całą szczerością. Dutertre nie mógł już dłużej wątpić; przypomniał sobie wtedy słowa ojca, przecucia swęj córki, i zdjęty nieznaną trwogą, odpowiedział głosem wymuszonym:

— Więc, Pan zapominasz o ciężkiej odpowiedzialności jakaby na mnie ciążyła, gdybym Panu list ten udzielił.

— Ej mój Boże! cóżby to było kochany Panie Dutertre, gdybyśmy od naszych przyjaciół żądali tylko rzeczy łatwych!

— Ale to jest rzecz niepodobna, której Pan odemnie żadasz...

— Nie, Panie Dutertre nie odmówisz mi tego.

— Panie Paskal, — rzekł Karol głosem pewnym i wzruszonym, — jestem Panu winien wszystko... nie masz jednego dnia w którym byśmy mój ojciec, żona i ja, nie przypominali sobie że rok temu, bez niespodziewanej pomocy pańskiej, upadek nasz i upadek tylu ludzi żyjących przy nas, byłby niezawodnym. Wszystkie uczucia przywiązania i szacunku jakie tylko wdzięczność obudzić może, my doznajemy ich dla Pana... wszelkie możebne dowody poświęcenia naszego, gotowi jesteśmy złożyć Panu z prawdziwą radością i szczęściem... lecz..

— Jeszcze jedno słowo... a Pan mnie zrozumiesz, — rzekł Paskal przerywając Karolowi.

Ponieważ wiedzieć pragniesz... muszę Panu wyznać... że interes mój wymaga tego koniecznie, ażebym posiadał w domu Duranda kogoś, coby mi zupełnie... Pan to rozumiesz .. *zupełnie*... był oddanym... Otóż, domyślasz się Pan zapewne, że trzymając Marcelange, a na wodzy tym listem który mi dasz dla niego, i znając poprzednie jego postęпки, zamieniam go dla siebie w wiernego służalca, w ślepe narzędzie... a licząc na twoje zupełne milczenie... więcej nawet uczynię... powiem ci, że...

— Ani słowa więcej w tym przedmiocie, za-

klinam Pana, — zawołał Dutertre z zadziwieniem i coraz większą przykrością, gdyż dotąd uważał pana Paskala za człowieka prawości nieposzlakowanej. — Ani słowa więcej... Są tajemnice których wyznania nie powinniśmy wcale przyjmować.

— Dla czego?

— Ponieważ mogą być bardzo drażliwe... bardzo nieprzyjemne, mój Panie.

— Doprawdy? wyznania starego przyjaciela mogą być bardzo nieprzyjemne; dobrze, zachowam je więc przy sobie... W takim razie daj mi pan ów list, bez żadnych tłumaczeń.

— Powiedziałem już Panu, że to jest dla mnie zupełnem niepodobieństwem.

Pan Paskal ściągnął usta i zmarszczył brwi nieznacznie; równie zdziwiony jak obrażony odmową Karola, nie mógł uwierzyć w naiwności cynizmu swojego, ażeby człowiek którego trzymał w zupełnej zależności, mógł mieć odwagę sprzeciwić się jego woli lub poświęcić terażniejszość i przyszłość jakimś skrupułowemu honorowemu.

Jednakże, ponieważ Paskalowi wiele bardzo na tem zależało, ażeby uzyskał list którego żądał, odpowiedział głosem tkliwego wyrzutu:

— Jakto... Pan mi tego odmawiasz, kochany Panie Dutertre... mnie... swojemu staremu przyjacielowi?

— Odmawiam szczególnież i mianowicie Panu... Panu... Panu, który zaufałeś mojej nieugiętej prawości, który, nie znając mnie... pożyczyleś mi tak znaczną summę pieniędzy.

— Dajże pokój, kochany Panie Dutertre, nie czyni mnie większym awanturnikiem jakim rzeczywiście jestem. Alboż to uczciwość twoja, rozum, twój własny interes, i w każdym razie, materiały twoich zakładów nie zabezpieczyły dostatecznie moich kapitałów? Alboż to się nie znajduje w wybornem położeniu, skutkiem owego zastrzeżenia, że mogę każdego czasu zażądać ich zwrotu... zastrzeżenia, z którego ile mi się zdaje, nie tak prędko jeszcze korzyśćać myślę... Z tego powodu los twój obchodzi mnie bardzo blisko, — dodał skwapliwie pan Paskal, widząc zdumienie i trwogę malujące się nagle w rysach pana Dutertre, — lecz, przypuśćmy... co, dzięki Bogu! zawsze tylko jest przypuszczeniem, przypuśćmy, że w krytycznym stanie, w jakim obecnie cały przemysł się znajduje, powiedziałbym do ciebie: Panie

Dutertre, za miesiąc potrzebuję moich pieniędzy, i odmawiam ci dalszego kredytu!

— Wielki Boże! — zawołał Dutertre, zmieszany, przerażony samą myślą podobnego nieszczęścia; — toć jabym zbankrutował! to byłoby moją zgubą! upadkiem mojego zakładu, musiałbym może własnymi rękami pracować, jeżelibym jeszcze znalazł zatrudnienie, na wyżywienie mego ojca kaleki, mojej żony i dzieci moich.

— Będzieszże milczał złośliwy człowieku, co to znaczy, żeby mi zaś takie smutne myśli stawiać przed oczy! Na cały dzień mnie teraz zasmucisz! — zawołał pan Paskal z ujmującą dobroduszością, biorąc Karola za obie ręce. — I to dzisiaj mówisz do mnie w ten sposób, dzisiaj, kiedy 'ja' sobie tak przyjemny, uroczysty dzień obiecywałem... No! cóż ci jest... taki jesteś blady?...

— Przebacz Pan, — rzekł Dutertre ocierając zimne krople potu spływające z jego czoła, — ale na samą myśl tak niespodziewanego ciosu... któryby dotknął to co mam najdroższego na świecie: mój honor... moją rodzinę... moją pracę... Ah! wierzaj Pan... masz Pan słuszość...

oddalmy jeszcze tę myśl... ona zbyt jest okropna.

— O! mój Boże... właśnie Panu to mówiłem, nie zatrzymajmy sobie tego dnia pięknego.. Otóż, ażeby temu jak najprędzej koniec położyć, dodał wesoło pan Paskal, — rozbijmy interes od razu... za jednym zamachem... daj mi ów list... i nie mówmy już o tem.

Dutertre zadrżał, okropna trwoga ścisnęła mu serce i odpowiedział:

— Panie... podobne naleganie dziwi mnie i zasmuca... Lecz powtarzam Panu że żadną miarą nie mogę tego uczynić co Pan odemnie żądasz.

— Ah! jakie też z ciebie dziecko! samo to moje naleganie powinno cię przekonać jaką wagę do tego przywiązuję.

— Panie, czy to być może?

— A dla czegożbym ja przywiązywał do tego taką wagę? Oto dla tego że to i ciebie samego obchodzi.

— Mnie? nie rozumiem Pana.

— O! bez wątpienia... w razie chybienia mojej rachuby jaką zakładam na domu Durand, dla tego tylko że twoja odmowa nie pozwala mi użyć właściwie tego łotra Marcelange'a (ponie-

waż Pan nie chcesz przyjąć moich zwierzeń, muszę je więc przy sobie zachować:) być może, że byłbym zniewolonym, dla pewnych powodów, których wytłómaczenia także przyjąć nie chcesz, powtarzam — dodał pan Paskal, zwołana wymawiając następujące wyrazy, i wpatrując się zimnym lecz przenikliwym wzrokiem w swą ofiarę... byłbym mówię zniewolonym... coby mi jednakże serce zakrwawiło, zażądać zwrotu moich kapitałów i zamknąć ci dalszy mój kredyt.

— O! mój Boże! — zawołał Dutertre składając ręce i śmiertelną pokrywając się bladością.

— Widzisz więc, szkaradny człowieku, w jakim ty sam postawiłbyś mnie położeniu!.. Zmuszać mnie do czynu... który, powtarzam ci jeszcze, boleśnie zraniłby duszę moją...

— Ależ Panie... wszakże przed chwilą dopiero... Pan mnie upewniałeś...

— Tak, nie inaczej... zamiarem moim byłoby zostawić go u Pana jak najdłużej, ten nieszczęśliwy kapitał, wszakże mi płacisz procenta i amortyzację z rzadką punktualnością... lokacja była zatem doskonała, i skutkiem owęj amortyzacji, spłaciłbyś go w ciągu lat dziesię-

ciu a ja byłbym doskonały zrobił interes, wyświadczać ci razem tę usługę.

— Rzeczywiście, Panie, — rzekł zoiicha Dutertre zmieszany nadzwyczajnie, — takie były przyrzeczenia pańskie jeżeli nie na piśmie, to przynajmniej ustne... i szlachetność Pana ofiary, prawosć charakteru jego, wszystko najzupełniejszą budziło we mnie ufność... Daj Boże, ażebym nie był przymuszony powiedzieć ufność zuchwałą, szaloną, co do przyrzeczeń pańskich.

— Co do tego, kochany Panie Dutertre, nie miej sobie nic do wyrzucenia; w owiej krytycznej epoce dla handlu, a przynajmniej równie ciężkiej jak dzisiejsza, nie byłbyś nigdzie znalazł kapitału za cenę tak umiarkowaną.

— Wiem o tem, mój Panie!

— Mogłeś więc, musiałeś nawet, będąc zniewolonym gwałtowną potrzebą, przyjąć warunki pod jakimi tę pożyczkę udzielałem.

— Lecz, Panie, zawołał Dutertre przejęty niewypowiedzianą trwogą, — odwołuję się do Pańskiego honoru! Przyrzekłeś mi Pan wyraźnie, że...

— O! mój Boże! tak jest... przyrzekłem Panu wszystko, gdyby nie ten nieprzewidziany

zbieg nadzwyczajnych okoliczności; a na nie-szczęście, twoja odmowa tego nędznego bile-ciku, jest właśnie okolicznością bardzo wiel-kiej wagi, która mnie stawia w przykrój... w bo-lesnej konieczności... zażądania od pana zwro-tu moich pieniędzy.

— Ale Panie, to czyn haniebny, jakiego Pan odemnie żądasz... zastanów się Pan nad tem!

W tej chwili usłyszano słodki i dźwięczny śmiech Zofii Dutertre zbliżającą się do pokoju.

— Ah! Panie! — zawołał jej mąż, — ani sło-wa więcej w przytomności mojej żony... gdyż, być może, że to jeszcze nie jest ostatnie Pana postanowienie, i spodziewam się, że...

Karol Dutertre nie dokończył słów swoich, gdy w tej chwili Zofia weszła do salonu.

Nieszczęśliwy człowiek zdołał tylko skinąć i błagającym wzrokiem spojrzeć na pana Pa-skala, który także życzliwem skinieniem na je-go prośbę odpowiedział.

ROZDZIAŁ VIII.



Kiedy Zofia Dutertre weszła do salonu w którym znajdował się jej mąż z Paskalem, powabna twarz młodej kobiety żywym pokryta rumieńcem jak zwykle, lekkie wzruszenie piersi, zwilżone oczy, świadczyły o jej świeżym wybuchu wesołości.

— Ah! ah! Pani Dutertre,—rzekł wesoło pan Paskal,—słyszałem Panią dobrze,* śmiałaś się tak wesoło...

Poczem zwracając się do Karola, który starał się wszystkimi siłami ukryć swoje przerażenie i zaufać ostatniej jeszcze nadziei, dodał:

— Jak szczęście czyni wesołemi te młode kobiety! Spojrzeć tylko na nie... już radość wstępuje w serca nasze, nie prawdaż, kochany Dutertre?

— Śmiałam się wprawdzie, ale to prawie mimowolnie, zaręczam Panu, dobry panie Paskal, — odpowiedziała Zofia.

— Mimowolnie? — zapytał kapitalista, — jakto? czyliżby jakie zmartwienie?

— Zmartwienie? o! nie, dzięki Bogu!... lecz więcej byłam usposobiona do rozrzewnienia niżeli do wesości... Ta droga Antonina... gdybyś ty widział... Karolu, — dodała młoda kobieta zwracając się z słodkim wzruszeniem do swego męża, — nie jestem ci w stanie wypowiedzieć, jak ona mnie wzruszyła... jakie szere a zarazem naiwne wyznanie ona mi uczyniła... gdyż serce biednej dziewczyny było wypełnione... i nie miała siły oddalić się bez opowiedzenia mi wszystkiego...

I łza rozrzewnienia zrosiła piękne oczy Zofii.

Usłyszawszy imię Antoniny, Paskal mimo całej mocy nad sobą, zadrzał; jego silne zajęcie młodą panienką na chwilę odroczone, powróciło teraz daleko żywsze i gorętsze jak kiedykolwiek, i podczas kiedy Zofia zwilżone

oczy ocierała, spojrział na nią wzrokiem przenikliwym, usiłując odgadnąć czego mógłby się od niej spodziewać w zamiarach jakie sobie ułożył.

Pani Dutertre dodała w krótkce obracając się do męża:

— Opowiem ci to później, mój Karolu... ale zostawałam jeszcze pod słodkiem wrażeniem mojej rozmowy z tą drogą Antoniną... kiedy moja mała Magdalenka przybiegła do mnie i dziecinną swoją mową nagadała mi takich rzeczy, że nie mogłam się wstrzymać od głośnego śmiechu... Lecz, przebacz mi, Panie Paskal... serce Pana zrozumie i wytłumaczy wszystkie słabości macierzyńskie, nie prawdaż?

— I mnie to Pani o to pytasz, — rzekł Paskal głosem serdecznym, — *mnie... człowieka tak pocziwego?*

— To prawda, — dodała Zofia z czarującą szczerością, — jeżeli tu Pana tyle kochamy... to dla tego, że Pan jesteś, jak sam mówisz, *człowiekiem bardzo pocziwym... Oto... zapytaj Pan Karola... czy on mi zaprzeczy?*

Dutertre uśmiechnął się tylko z przymusem i miał dosyć siły i odwagi że potrafił powściągnąć się dostatecznie w obecności swój żony,

tak dalece, że ta, będąc zupełnie zajęta panem Paskalem, nie domyślała się bynajmniej niespokojności swego męża. Dla tego też, zbliżywszy się do stołu i biorąc z niego woreczek własną zrobioną ręką, podała go panu Paskalowi mówiąc do niego głosem ujmującym:

— Kochany Panie Paskal, woreczek ten jest owocem pracy moich najprzyjemniejszych wieczorów... wieczorów, które przepędzałam tutaj z moim mężem... jego zacnym ojcem i moimi dziećmi. Gdyby każda z tych stalowych perełek przemówić mogła, — dodała Zofia z uśmiechem, — powiedziała by Panu, ile razy jego imię było wyrzeczone pomiędzy nami, z jakim przywiązaniem i z jaką wdzięcznością...

— Ah! dziękuję, dziękuję, kochana Pani Duterre, — odpowiedział Paskal, — nie jestem w stanie wyrazić Pani, ile jestem wdzięczny za tę miłą dla mnie pamiątkę; ale, widzisz Pani, doprawdy, to mnie nieco niepokoi...

— Jak to?

— Pani obdarzasz mnie, a ja znowu nowe chcę zanieść żądanie.

— Co za szczęście!... Żądaj Pan... żądaj... kochany Panie Paskal.

Następnie, zwróciwszy się do męża z zadziwieniem, rzekła:

— Karolu, cóż ty tam robisz, przy twojem biurku?

— Pan Paskal raczy mi przebaczyć; przypomniałem sobie, że jeszcze nie przejrzał kilku notatek dotyczących jednej bardzo pilnej roboty, — odpowiedział Dutertre przewracając bezpotrzebnie rozmaite papiery, ażeby tymczasem przyjść nieco do siebie, i ukryć przed żoną, do której właśnie tyłem był obrócony, wzruszenie malujące się na jego twarzy.

— Mój drogi, — rzekła Zofia głosem lekkiego wyrzutu, — mógłbyś też pracę tę odłożyć na później, i zaczekać aż...

— Pani Dutertre, prawdziwie, ja się zbuntuję, jeżeli Pani dla mnie przerywać będziesz swemu mężowi, — zawołał pan Paskal, — czyliż ja to nie znam interesów? szczęśliwa kobieto, daj mu Pani pokój, daj, właśnie to skutkiem tej niez mordowanej gorliwości w pracy, nasz kochany Dutertre stoi na czele swego pięknego zakładu.

— A któż to zachęcił tę jego gorliwość w pracy, kto ją wynagrodził, któż jeżeli nie nasz kochany Pan Paskal? Jeżeli Karol stoi

obecnie, jak Pan mówisz, na czele tego zakładu, jeżeli nasza i dzieci naszych przyszłość jest już na zawsze ustalona... nie panuż to winni jesteśmy?

— Rzeczywiście, kochana Pani Dutertre, uwzięłaś się koniecznie, ażeby mnie zawstydzić, a wtedy, nie będę wcale wiedział jak się odważyć zażądać téj małej usługi, którój się właśnie spodziewam.

— A ja też... ja... zapomniałam o tem zupełnie...—odpowiedziała Zofia z uśmiechem;— na szczęście zapomniałam o tem dla tego tylko, ażeby Panu mówić o usłudze nierównie ważniejszej, bo o usłudze którą Pan dla nas wyświadczyłeś. Sądzę więc że mi to Pan przebaczysz, nie prawdaż? Ale prędzój, tylko prędzój... o cóż to idzie? wołała młoda kobieta z ujmującą skwapliwością.

— To co Pani mam powiedzieć, może ją bardzo zadziwić.

— Tym lepiej, ... ja nadzwyczajnie lubię wszelkie niespodzianki.

— Dobrze więc... oto, samotność kawalerskiego życia zaczyna mi się przykrzyć... i ...

— I?...

— Pragnąłbym ożenić się...

— Doprawdy?

— Dziwi to Panią?... Byłem tego pewny.

— Mylisz się Pan zupełnie, gdyż, według mojego przekonania, koniecznie to nastąpić powinno.

— Jakto?

— Mój Boże, często mówiłam sobie: prędzej czy później, ten dobry Pan Paskal, co tyle żyje sercem, zapragnie także skosztować słodkiego i nieocenionego szczęścia życia rodzinnego... i jeżeli Panu mam wyznać moją dumną zarozumiałość,—dodała Zofia z uśmiechem,—mówiłam sobie nawet w duchu, że to niepodobna, ażeby widok szczęścia, jakiego Karol i ja używamy, nie natchnął z czasem Pana Paskala myślą ożenienia się. Teraz, pomyśl Pan jak szczęśliwą być muszę, żem zamiar Pana przeczuła!

— Tryumfuj Pani zatem, gdyż, rzeczywiście zbudowany przykładem Pani i twego męża, pragnę postąpić jak wy oboje, wejść w związek małżeński z miłości..

— Alboż to może być małżeństwo inne, jak z miłości?—zagadnęła Zofia wzruszając ramionami poruszeniem pełnem wdzięku, i nie my-

śląc wcale o trzydziestu ośmiu latach pana Paskala; poczem dodała:

— I Pan jesteś kochany?

— O! mój Boże! może to zależność... od Pani.

— Odemnie?

— Nie inaczej.

— Odemnie?... — powtórzyła Zofia w coraz większem zadziwieniu, — czy ty rozumiesz Karolu, co Pan Paskal mówi?

— Rozumiem... — odpowiedział Dutertre, który nie tyle zdiwiony jak jego żona, słuchał z mimowolną niespokojnością.

— Jakto, Panie Paskal, — mówiła dalej Zofia, — ja mogę sprawić, ja... ażebyś Pan był kochanym?

— Możesz Pani... kochana Pani Dutertre.

— Jakkolwiek mi się to wydaje rzeczą niepojętą, dziękuję Bogu za to że mam posiadać tę czarodziejską potęgę, jaką pan mi przyznajesz, — odpowiedziała Zofia z słodkim uśmiechem, — w takim razie, będziesz Pan tak kochanym jak na to zasługujesz...

— Rachując tedy na przyrzeczenie Pani, nie będę wcale obwijał w bawełnę, i wyznam dobrój Pani od razu, że szalenie jestem zakochany w pannie Antoninie Hubert.

— W Antoninie!!—zawołała Zofia z przerażeniem, gdy tymczasem Dutertre siedząc ciągle przy swoim biurku, odwrócił się nagle do swjej żony, której nadzwyczajne zdumienie w zupełności podzielał.

— W Antoninie!—powtórzyła Zofia, jak gdyby nie mogła uwierzyć temu co przed chwilą usłyszała,—Pan kochasz Antoninę!

— Szaleję za nią... właśnie to u was spotkałem ją czwarty raz w życiu mojem; wprawdzie, nigdy z nią nie mówiłem... jednakże zamiar mój jest niezmienny, bo należę do liczby tych ludzi, którzy się decydują szybko i to przez instynkt... Podobnie, kiedy szło o przyjscie w pomoc temu zacnemu Dutertre, rzecz była w przeciągu dwóch godzin skończona... Otóż! zachwycająca piękność Panny Antoniny... szczerłość i niewinność malujące się w jej twarzy, coś takiego, co mi potajemnie mówi, że ta osoba musi posiadać najlepsze przymioty w świecie... wszystko to przyczyniło się, żem się szalenie zakochał i że pragnę w związku skojarzonym przez miłość, podobnie jak wasze małżeństwo, kochana Pani Dutertre, znaleźć to szczęście domowe, to błogie zadowolenie serca... którego sądzisz mnie być tak godnym.

— Panie...—rzekła Zofia zmieszana nadzwyczajnie,—pozwól mi Pan...

— Jeszcze tylko jedno słowo: jest to miłość datująca od pierwszego spotkania, powiesz mi Pani, pozwalam, ale mamy wiele przykładów miłości równie nagłej jak głębokiej!... Zresztą, jakem to Pani już powiedział, ja jestem po prostu człowiekiem instynktu, przeczucia; jednym rzutem oka sądziłem zawsze każdy interes zły lub dobry: czemuż nie miałbym w mojem małżeństwie trzymać się téjże saméj metody, która aż dotąd udawała mi się jak najpomyślniej? Mówilem tedy, że to zupełnie od Pani zależy ażeby mnie Panna Antonina kochała... Wytlómaczę ci się z tego: w piętnastym roku, nie sądzę bowiem ażeby panna Antonina mogła być starszą... panienki nie mają jeszcze własnej woli... Służyłaś jej Pani za matkę jak mi to Dutertre oświadczył. Posiadasz więc nad nią wielką władzę, skoro cię wybiera za swoją powiernicę... Nie będzie zatem nic łatwiejszego, jak rozmawiając z nią o mnie, skoro mnie Pani jój przedstawisz (co nie później nastąpi jak jutro, nie prawdaż?) oświadczyć jój ażeby podzieliła mą miłość i została moją żoną. Gdybym Pani winien był to szczęście.. kochana Pani Duter-

tre... — dodał Paskal głosem wzruszonym i szczerem, — mówisz Pani o wdzięczności? oto, uczucie jakie Pani masz dla mnie... byłoby niewdzięcznością obok tego co ja dla ciebie ezuć będę.

Zofia słuchała pana Paskala z prawdziwym smutkiem i pomieszaniem, wierzyła bowiem i słusznie nawet wierzyła w rzeczywistość miłości, albo raczej niezwalczonęj namiętności i zapałów jakie nim owładnęły; dla tego też odpowiedziała głosem niepewnym i bolesnym, ponieważ ją to nie mało kosztowało zniweczyć nadzieje które sądziła być uczciwemi:

— Mój kochany i biedny Panie Paskal, wyznaję z największym dla mnie żalem, że nie mogę wywiązać się z tój pierwszej przysługi którój Pan odemnie żądasz; nie potrzebuję nawet Panu mówić ile nad tem ubolewam.

— Cóż w tem jest niepodobnego?

— Wierzaj mi pan... porzuć myśl o tem małżeństwie.

— Czy Panna Antonina... nie zasługuje...

— Antonina jest prawdziwym aniołem, znam ją bowiem od samego dzieciństwa... Nie masz na świecie lepszego serca, lepszego charakteru.

— Właśnie to co mi Pani mówisz, tem większe

budzi we mnie pragnienie... jeżeliby ono jeszcze większem być mogło...

— Jeszcze raz powtarzam Panu.. ten związek jest niepodobny.

— Ale... dla czegoż?

— Najprzód, pomyśl Pan nad tem... Antonina zaledwie zaczęła rok szesnasty, a Pan...

— A ja mam lat trzydzieści ośm; czy oto idzie?...

— Różnica wieku jest bardzo wielka, sam Pan przyznaj. Ponieważ zaś nie radziłabym ani własnej córce, ani siostrze mojej, wchodzić w związek tak niestosowny... nie mogę także doradzać tego i Antoninie... nie chciałabym bowiem za żadną cenę... ani jój, ani Pana nieszczęścia.

— O! bądź Pani zupełnie spokojną.. ja la-
ni ręczę za moje szczęście... tak... za moje.

— A za szczęście Antoniny?

— Bah! bah! dla kilku lat więcej lub mniej..

— Kochany Panie Paskal, ja poszłam za mąż z miłości... i nie rozumiem innego małżeństwa. Być może iż to nie dobrze; ale koniec końcen, ja tak myślę... i powinnam to Panu powiedzieć. kiedy rady mojej zasięgasz.

— Więc zdaniem Pani, nie mogę podobać się Pannie Antoninie?

— Sądzę że ona uzna jak Karol, jak ja... jak wszystkie serca szlachetne, wspaniałomyślność charakteru pańskiego... lecz...

— Przebacz mi, kochana Pani Dutertre... że ci jeszcze raz przerwę... piętnastoletnie dziecko nie ma jeszcze ustalonego zdania o małżeństwie: panna Antonina ma w Pani ślepe zaufanie... Przedstaw mnie, jój... nagadaj jój tylko wiele dobrego o poczciwym Paskalu... a rzecz będzie skończona pomyślnie; jak tylko Pani zechcesz... potrafisz wszystko.

— Kochany Panie Paskal, rozmowa ta więcej mnie zasmuca aniżeli to Panu wypowiedzieć mięę... Ażeby jój koniec położyć, powierzę deikatności i honorowi Pana pewną tajemnicę.

— Jakto... tajemnica?

— Antonina... kocha i jest kochaną... Panie Paskal, nie masz nic czystszeo, nic tkliwszego jak ta miłość... i dla wielu powodów... pewna jestem że ona zapewniłaby szczęście Antoniny; zdrowie jój stryja jest bardzo wątłe: niechaj go tylko to biedne dziecię utraci, przymuszoną będzie udać się do krewnych, którzy bardzo słusznie obudzają w niej pewną niechęć... Po-

szedłszy zaś za mąż według serca swojego, może niemal być pewną najszcześniejszej przyszłości... Widzisz przeto, kochany i dobry Panie Paskal, że nawet przy mojej pomocy nie przedstawia się żadna nadzieja pomyślnego skutku;... a mogeż ja przy całej sumiennosci mej duszy, udzielić Panu żądanej pomocy, kiedy, pomijając nawet nierówność wieku, pewną jestem... a ja nigdy nic lekkomyślnie nie twierdzę, że miłość jaką Antonina czuje i jakiej sama odbiera dowody, koniecznie szczęście jej zapewnić musi!

Na takie potwierdzenie miłości Antoniny dla Franciszka, tajemnicy którą Paskal w połowie już przeniknął, kapitalista dotknięty zosał gwałtownem uczuciem żalu i boleści, powiększonym jeszcze odmową pani Dutertre, która w niczem nie chciała dopomóc jego zamiarom; lecz powściągnął się jeszcze chcąc ostatniego spróbować środka, a, jeżeliby się i ten nie udał, uczynić zemstę swoją tem straszliwszą.

Odpowiedział przeto z pozorną spokojnością:

— Ah!... więc to Panna Antonina jest zakochaną... dobrze; ale, przecież my znamy te *wielkie* namiętności młodych panienek, kocha-

na Pani Dutertre... jest to prawdziwy ogień słomiany... Otóż, Pani dmuchniesz tylko na niego i zagaśnie; ta niezmienna miłość nie zdoła oprzeć się twemu wpływowi.

— Najprzód, nie będę wcale próbowała wpływać jakim bądź sposobem na Antoninę w tym względzie, Panie Paskal; a potem byłoby to nawet zupełnie bezskutecznem.

— Tak Pani sądzisz?

— Jestem tego pewną.

— Bah!... w każdym razie spróbuj Pani.

— Wszakże Panu mówię, że Antonina kocha.

— Kocha? rozumiem; oprócz tego jeszcze, pozcziwy Paskal ma lat trzydzieści ośm, i nie jest wcale ładny, to rzecz widoczna; ale też za to posiada śliczne miliony; i jeżeli dzisiaj wieczorem, (bo Pani pójdiesz do niej wieczorem, nie prawdaż? jestem tego pewny,) przedstawiś Pani temu niewiniątku, że jeżeli miłość jest dobrą rzeczą, pieniądze są jeszcze lepszą, gdyż miłość przemija a pieniądze zostają, usłucha ona twój rady i jutro pożegna swego kochanka; wtedy nie pozostanie mi jak tylko powiedzieć: chwała i dzięki ci, moja droga i kochana Pani Dutertre.

Zofia spojrziała na Paskala wzrokiem równie

zdziwionym jak niespokojnym; jój czuła drażliwość kobieca została okropnie dotkniętą; jój instynkt poszepnął jój, że człowiek mówiący tak jak pan Paskal mówił, nie był człowiekiem serca i honoru, jakim go dotąd być sądziła.

W téj chwili także Dutertre podniósł się z krzesła; żona jego dopiero teraz dostrzegła wzburzenie wewnętrzne malujące się w jego rysach i zbliżając się do niego zawołała:

— Mój Boże... Karolu... taki jesteś blady... możeś chory?

— Nie... Zofio... nic mi nie jest... lekki ból głowy...

— Ja ci mówię, że tobie jest coś innego... Ta bladość nie jest wcale naturalną... Panie Paskal... spojrzij Pan na Karola.

— Rzeczywiście... kochany Dutertre... musi ci być nie dobrze

— Nie mi nie jest, Panie, — odpowiedział Dutertre głosem lodowatym, który zwiększył jeszcze wątpliwą obawę jego żony.

W milczeniu spoglądała kolejno to na swego męża, to na pana Paskala, starając się odgadnąć przyczynę zmiany jaką w nim spostrzegła i którą ją mimowolną trwogą przejmowała.

— Słuchajże kochany Panie Dutertre, — ode-

zwał się Paskal po chwili milczenia, — sły-
szales naszą rozmowę.. połącz się więc ze
mną, ażebyśmy mogli przekonać tę zącą i ko-
chaną twoję żonę, że Panna Antonina pomimo
swojej szalonej, dziecinnéj miłości, nie może
znalesć lepszego odemnie męża.

— Panie, pod tym względem, podziela
w zupełności zdanie mojej żony.

— Co! niedobry człowieku... i ty także!

— Tak, Panie!...

— Zastanówciez się...

— Żona moja powiedziała Panu: że miłość
skojarzyła nasz związek, i równie jak ona, prze-
konany jestem, że tylko małżeństwa z miłości
mogą być szczęśliwemi.

— Zaprzedać Antoninę, — rzekła Zofia z go-
ryczą, — ja... doradzać jej czyn oburzającej
podłości, — związek dla pieniędzy, ażeby się
miała sprzedać, kiedy dopiero przed chwilą
wyznała mi swoje czystą i niewinną miłość...
Ah! Panie, sądziłam że Pan zaszczytniejsze mia-
eś o mnie zdanie.

— Słuchajże, słuchaj, kochany Panie Duter-
tre, ty, człowieku rozumny, przyznaj, że to są
tylko powody romansowe... pomóżże mi prze-
konać twą żonę.

— Powtarzam Panu, że jestem zupełnie jój sposobu myślenia.

— Ah! — zawołał nareszcie pan Paskal, — nie spodziewałem się znaleźć tu przyjaciół tak obojętnych .. tak zimnych na wszystko co mnie obchodzi.

— Panie, — zawołała Zofia, — wyrzut ten jest niesprawiedliwy.

— Niesprawiedliwy!... Niestety! pragnąłbym tego, ale mam aż nazbyt wielką słusność... Przed chwilą dopiero, mąż Pani odmówił jednemu memu żądaniu, teraz .. Pani czynisz toż samo... Ah! to smutno... smutno .. Na kogóż tu teraz liczyć!

— Jaka odmowa? — zapytała Zofia swego męża, coraz więcej niespokojna, — cóż ty odmówiłeś Karolu?

— Nie ma żadnej potrzeby mówić ci o tem, moja Zofio kochana..

— Przeciwnie, mnie się zdaje, — przerwał Paskal, — że dobrzeby było opowiedzieć wszystko pańskiej żonie, kochany Dutertre, możeby ona udzieliła swój rady.

— Panie...—zawołał Dutertre składając ręce z trwogą.

— Co znowu, — odpowiedział Paskal, — al-

boż to w małżeństwie z miłości mogą być tajemnice ze strony jednego małżonka dla drugiego?

— Karolu... zaklinam cię, wytłómacz mi co to wszystko znaczy... Ah! widziałam ja dobrze żeś ty cierpiał... ale, Panie, cóż tutaj zaszło pomiędzy Panem i Karólem? — odezwała się do Paskala głosem błagającym, — zlituj się Pan, odpowiedz mi.

— O! mój Boże! zaszła tu rzecz nadzwyczajnie prosta... sama Pani osądzisz.

— Panie, zawołał Dutertre, — w imię wdzięczności jaką panu winni jesteśmy, przez litość, ani słowa więcej, błagam Pana na wszystko; bo ja nigdy nie wierzę, abys Pan miał ciągle trwać w zamiarze swoim. W takim zaś razie po co trwożyć nadaremnie moją żonę?... — Poczem zwracając się do niej, dodał: — uspokój się Zofio! proszę cię.

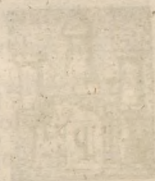
Ojciec Karola usłyszawszy ze swego pokoju coraz głośniejszą rozmowę, otworzył drzwi nagle, postąpił kilka kroków do salonu wyciągając ręce przed sobą, i z twarzą wybladłą, zawołał:

— Karolu! Zofio! mój Boże! cóż to znaczy?

— Mój ojciec! — zawołał zeicha Dutertre z boleścią w duszy.

— Otóż i stary! — rzekł Paskal, — wybor-
nie! bardzo mi to na rękę.

ROZDZIAŁ XV



ROZDZIAŁ IX.



o przybyciu ociemniałego starca do salonu, nastąpiła chwila milczenia.

Dutertre wybiegł skwapliwie naprzeciw swego ojca, uchwycił jedną jego drżącą rękę i ściskając ją z wzruszeniem, powiedział:

— Uspokój się, mój ojcze, to nic... prosta sprzeczka w interesach... trochę tylko za żywa... pozwól ażebym cię odprowadził do twego pokoju.

Karolu, — rzekł niewidomy smutnie potrząsając głową, — twoja ręka jest zimna... drzysz

cały... głos twój jest wzruszony... tu się coś dzieje co chcesz ukryć przedemną.

— Nie mylisz się Pan bynajmniej, — rzekł Paskal do starca, — syn Pana tai się przed Panem, a w jego, we własnym, w twojej synowej i jej dzieci interesie, nic nie powinno być przed Panem ukrytem.

— Na Boga, więc Pana już nic wzruszyć nie zdoła, — zawołał Karol Dutertre, — to Pan jesteś bez litości, bez serca?

— Dla tego właśnie, że mam litość nad twoim i twojej żony szalonym uporem, mój kochany Dutertre, pragnę odwołać się do zdrowego rozsądku twego czcigodnego ojca.

— Karolu, — odezwała się Zofia, — bądź co bądź, choćby to była rzecz najokropniejsza, powiedz mi... Gdyż ta wątpliwość, ta trwoga, przechodzi już moje siły.

— Mój synu, — dodał starzec, — bądź mężnym jak zawsze, a my wszyscy będziemy mieli odwagę.

— Widzisz więc, kochany Panie Dutertre, — mówił dalej Paskal, — wszakże sam twój żany ojciec pragnie usłyszeć prawdę.

— Panie, — odpowiedział Dutertre głosem bolesnym i wpatrując się w Paskala wzrokiem

wilgotnym, w którym zaledwie łyzy zdołał powściągnąć, — pozostań, dobrym, szlachetnym, jakim byłeś aż dotąd. Władza twoja jest ogromna, wiem o tem; jednym słowem możesz nas wszystkich pograżyć w żalobę, wtrącić w okropną przepaść; ale, jednym także słowem, możesz nam powrócić spokój i szczęście które tobie winni jesteśmy. Błagam Pana, nie bądź bez litości.

Na widok łez, które mimo wszystkich usiłowań potoczyły się z oczu Karola, tego człowieka tak mężnego, tak wytrwałego, Zofia przeczuła całą wielkość niebezpieczeństwa, i zwracając się do Paskala, rzekła do niego głosem bolesnym:

— Mój Boże!... ja nie wiem jakim nieszczęściem Pan nam zagrozasz, ale, ja lękam się... o! lękam się i również błagam Pana...

— Będąc naszym zbawcą, — zawołał Duterre ocierając oczy z których jeszcze łzy płynęły, — Pan nie możesz zamienić się w naszego kata!

— W waszego kata, — odpowiedział Paskal, — niechaj mnie Bóg od tego uchwata, moi biedni przyjaciele... nie ja to... lecz wy sami chcecie zostać własnymi katami!... To słowo którego odemnie oczekujecie, to słowo które może

wasze zapewnić szczęście, wyrzec je, kochany Dutertre, a nasza uroczystość będzie równie wesola jaką być miała... jeśli zaś nie... nie uskarżajcie się przynajmniej na przykry los jaki was oczekuje. . niestety! wszakże to będzie z własnej waszej woli!

— Ależ, Karolu... — jeżeli to od ciebie zależy, — rzekła Zofia w trudnej do opisanego twódcze, — to słowo którego od ciebie Pan Paskal żąda, wyrzec je... o mój Boże! kiedy tu idzie o los twego ojca i twoich dzieci...

— Wszakże słyszysz twą żonę, mój kochany Dutertre, — dodał Paskal, — czyliż i na jej głos okazesz się równie nieczułym?

— Dobrze więc!... — krzyknął Dutertre, bledy z gniewu i rozpacz, — ponieważ ten człowiek jest bez litości, dowiedźcie się więc o wszystkim ty, mój ojciec, i ty Zofio także... Wygnałem z mego domu Marcelange'a. Pan Paskal ma w tem własny jakiś interes, którego przecież nie znam, ażeby ten człowiek dostał się do domu handlowego Durand... i wymaga odemnie, ażebym domowi temu zaręczył za uczciwość jednego nędznika... którego wygnałem z mego domu jako jawnego oszusta.

— Ah! Panie, — zawołał starzec zwracając

się w oburzeniu swoim w stronę, w której sądził że Paskal się znajduje, — to być nie może. Nie spodziewaj się Pan od mego syna podobnej nikiemności!

— Jeżeli zaś nikiemności téj odmówię, — mówił dalej Dutertre, — Pan Paskal odbiera mi swoje kapitały które z taką pewnością przyjąłem, zamyka mi swój kredyt, a w tak krytycznym położeniu, to będzie naszą zgubą... naszym upadkiem...

— Wielki Boże... — krzyknęła Zofia zdjęta przerażeniem.

— To jeszcze nie wszystko, mój ojcie, — dodał Dutertre, — potrzeba jeszcze ażeby i moja żona złożyła odpowiedni haracz hańby i wstydu... Pan Paskal powiada, że się zakochał w Paninie Antoninie, i Zofia ma usłużyć jego miłości, o której wie że jest niepodobną; miłości którą dla szlachetnych powodów zupełnie potępia; jeżeli zaś nie... to znowu druga groźba wisi nad naszymi głowami... Oto cała prawda, mój ojcie, ... uledez zgubie równie strasznej jak nieprzewidzianej, lub popełnić czyn hańbiący... oto dwie ostateczności, do których mnie zniewala człowiek któregośmy tak długo uważali za człowieka szlachetnego i prawego.

— Tak, tak zawsze jedno i toż samo! otóż to jak się na świecie dzieje... — odpowiedział Paskal wżusząc z westchnieniem ramionami, — dopóki tylko idzie o przyjmowanie usług bez czynienia ich nawzajem... o! wtedy, pochlebiana, wynoszą cię pod niebiosa; wtedy ustawicznie tylko słyszysz, mój *szlachetny dobroczyńco*, mój *wspaniałomyślny zbawco*! nazywają cię *pocziwym*, obsypują cię grzecznościami, haf-tują ci woreczki, wyprawiają uczyty dla ciebie... dzieci nawet okrywają cię pieśzcotami i prawią ci słodziuchne słóweczka; niechaj tylko potem nadejdzie dzień w którym ów pocziwy człowiek, ów dobroczyńca sam odważy się zażądać jakiejś nędznej usługi... wtedy krzykną na niego... o! to człowiek niegodny! bezecny! niegodziwy!

— Każdą ofiarę jakiejbyś Pan odemnie zażądał, aby tylko była zgodną z honorem, byłbym ją z radością poniósł dla Pana... wszystkobyłem uczynił...

— O cóż tedy idzie? — mówił dalej Paskal, nie odpowiadając wcale na słowa Karóla Duter-tro; — jeżeli ów *pocziwiec*, przy całej dobro-duszności swojej, jeżeli ów dobroczyńca, na koniec znudzi się zupełnie;... szczególnie bo-

wiem niewdzięczność oburza jego serce, bo to jest człowiek tkliwy, bardzo tkliwy...

— Niewdzięczność, — zawołała Zofia, łzami się zalewając, — my, my, niewdzięczni... O! mój Boże! —

— I skoro poczciwiec przekona się nareszcie, chociaż trochę za późno, — mówił znowu dalej Paskal, nie odpowiadając Zofii, — skoro z boleścią w sercu uzna... że miał do czynienia z ludźmi niezdolnymi wdzięczności swojej postawić nieco wyżej nad jakieś tam dziecinne skrupuły... i powie sobie że byłby już zanadto poczciwym otwierać i nadal swój worek przyjaciółom tak obojętnym... Wtedy odbiera swoje pieniądze i kredyt,... właśnie jak ja to czynię, będąc także zniewolonym do tego kroku pewnymi okolicznościami wynikającymi z odmowy tego *kochanego* Dutertre, którego mi zawsze było i będzie jeszcze miło nazywać *kochanym* Dutertre... Jeszcze tylko jedno słówko, mój Panie, — dodał Paskal zwracając się do starca, opowiedziałem Panu szczerze mój postępęk z synem pańskim, równie jak jego postępowanie ze mną; lecz ponieważ by to zbyt wiele kosztowało moje serce wyrzec się wiary jaką miałem w życzliwość tego *kochanego* Pana Karola,

ponieważ wiem o okropnem nieszczęściu, które z jego winy może spaść na niego i na jego rodzinę... daję mu jeszcze kwadrans czasu do namysłu i poprawy.. Niechaj mi napisze list żądany, niechaj Pani Dutertre uczyni mi obietnicę o którą ją prosiłem, a wszystko wróci do stanu dawnego... i z głośnym krzykiem zawołałam o śniadanie i spełnię radosny puhar na cześć *przyjaźni*.... Jesteś Pan ojcem Karola, masz nad nim wielki wpływ... osądź więc i decyduj....

— Karolu, — rzekł starzec do swego syna głosem wzruszonym, — postąpiłeś jak człowiek uczciwy... dobrze jest... lecz pozostaje ci jeszcze jedna rzecz do zrobienia... odmówić zaręczenia za moralność jednego nędznika.. to jeszcze nie dosyć...

— Ah! ah! — zawołał Paskal, — więc cóż to jeszcze pozostaje uczynić?

— Jeżeli Pan Paskal, — mówił dalej starzec, — nie odstąpi swego zgubnego zamiaru, powinienś, mój synu, napisać do domu Durand, że dla powodów, które ci nie są wiadome, a które może są niebezpieczne, Pan Paskal pragnie Marcelange'a umieścić w domu tych samych ludzi, i że powinni się mieć na baczności, gdyż

przemilczeć o tak niecnym zamiarze, znaczyłoby zostać jego współnikiem.

— Pójdę za twoją radą, mój ojeze, — odpowiedział Dutertre głosem stanowczym.

— Coraz lepiej, coraz lepiej, — dodał Paskal z westchnieniem. — Do niewdzięczności, ... łączą jeszcze niegodne nadużycie zaufania... Dobrze, spełnię tedy kielich goryczy do dna samego... tylko, moi biedni *dawni* przyjaciele, — rzekł zwracając dziwne i złowrogie spojrzenie na aktorów tej sceny, — tylko obawiam się, ażeby po spełnieniu tego kielicha nie zostało mi w sercu zbyt wiele goryczy, zbyt wiele żółci... w takim bowiem razie... wiadomo wam, że kiedy po najtkliwszej przyjaźni nastąpi słuszna nienawiść, wtedy, na nieszczęście, nienawiść ta staje się okropną...

— O! Karolu, on mnie przeraża... — szepnęła młoda niewiasta zbliżając się do swego męża.

— Co do ciebie, moja Zofio droga, — dodał starzec z nieugiętą spokojnością umysłu i nie odpowiadając wcale na groźby Paskala, — nie tylko żeś nie powinna w niczem popierać, jakieś to dotąd czyniła, widoków małżeństwa którego nie potwierdzasz; ale nadto, jeżeli Pan Paskal

myśli swój nie porzuci, obowiązkiem twoim jest oświecić Pannę Antoninę i jej krewnych co do charakteru człowieka który ją pozyskać pragnie... W tej mierze dosyć ci tylko będzie wyjawić jak haniebną cenę położył na usługę wyświadczoną twemu mężowi.

— Przyjmuję ten obowiązek... — odpowiedziała Zofia głosem wzruszonym, — i spełnię go, mój ojczec...

— Więc i Pani Dutertre także chce nadużyć mego uczciwego zwierzenia, — zawołał Paskal głosem słodko złośliwym, — dotknąć mnie w najdroższej mojej nadziei!... to wcale nieszlachetnie. Daj Boże ażebym tylko i ja nie użył mego prawa odwetu... Po dwóch latach przyjaźni,... rozłączać się z podobnemi uczuciami... Więc to już inaczej być nie może? co! — dodał Paskal spoglądając kolejno na pana Dutertre i jego żonę, — więc pomiędzy nami wszystko się już skończyło?

Zofia i mąż jej zachowali milczenie pełne godności i rezygnacyi.

— Dobrze, — rzekł Paskal biorąc kapelusz do ręki, — niestety! otóż świeży dowód niewdzięczności ludzkiej!

— Panie! — zawołał Dutertre przywiedziony

do ostateczności tem udawaniem szyderskiej tkliwości Paskala, — w obec okropnego ciosu którym nas Pan usiłujesz przygnębić... to ciągle szyderstwo jest okropnem... zostaw nas Pan... zostaw...

— Jestem więc wygnany z tego domu... przez ludzi wiedzących o tem, że mi tak długo winni byli swoje szczęście, swoje ocalenie..., — mówił Paskał idąc zwolna ku drzwiom salonu... — Wygnany z tego domu, ja!... Ah! jakże to upokarza... tylko mi téj zgryzoty brakowało jeszcze...

Poczem, zatrzymawszy się, sięgnął do kieszeni, i wyciągnął z niej woreczek który mu Zofia Dutertre przed chwilą ofiarowała, — następnie, podając go młodéj kobiecie, dodał głosem okrutnéj ironii i jakoby żalu:

— Szczęściem, są one zupełnie nieme te drobne stalowe perełki, które miały mi w każdéj chwili powtarzać ile imię moje błogosławiono w tym domu z którego mnie wyganiają.

Lecz, udając jak gdyby się inaczej namyślił, schował woreczek napowrót do kieszeni, przypatruwszy mu się pierwéj z żalonym uśmiechem i mówiąc:

— Nie... nie... zachowam cię, biedny, niewinny woreczku... przypominać mi będziesz

dobro jakie wyświadczyłem i okrutny zawód jakim mnie za to wynagrodzono.

To powiedziawszy, Paskal uchwycił za antabę, otworzył drzwi i wyszedł pośród smutnego milczenia Zofii, jój męża i ojca.

Nikt jeszcze nie przerwał tego bolesnego milczenia, gdy Paskal wrócił się znowu i stanawszy w uchylonych na pół drzwiach, zawołał:

— W rzeczy samej... namyśliłem się jeszcze... posłuchaj mnie mój kochany Panie Dupertre...

Promyk szalonej nadziei zabłysnął w twarzy Karola; przez chwilę zdawało mu się, że mimo tój szyderskiej i zimnej surowości jaką Paskal udawał, nareszcie uczuł jakieś politowanie.

Zofia podzielała też samę nadzieję swego męża; z trudną do opisania trwogą oczekiwała dalszych słów człowieka, który samowładnie mógł ich losem rozrządzać i który się odezwał:

— W przyszłą sobotę przypada nam termin wypłaty... nie prawdaż *mój kochany* Panie Dupertre; pozwól ażebym cię zawsze tak nazywał, pomimo wszystkiego co między nami zaszło...

— Bogu dzięki... ulitował się przecież, — pomyślał Dutertre, i odpowiedział głosem:

— Tak jest... Panie...

— Sam to pojmujesz, kochany Panie Dutertre, — mówił dalej Paskal, — że nie chciałbym wcale stawiać cię w kłopotcie, znam ja dobrze banki paryzkie, a w obecnym stanie przesilenia handlowego, nie znalazłbyś nigdzie ani szeląga kredytu, zwłaszcza, skoroby się dowiedziano że i ja ci mój kredyt zamknąłem... ponieważ zaś liczyłeś na moją kasę dla zadość uczynienia niektórym zobowiązaniom... nie prawdaż?

— Karolu, jesteście ocaleni, — szepnęła Zofia głosem wzruszonym, — to tylko była próba...

Dutertre uderzony tą myślą, która zdawała mu się tem więcej prawdopodobną, że ją sam już poprzednio podzielał, nie wątpił teraz o swoim ocaleniu; serce jego zaczęło bić gwałtownie, rysy jego zmienione wypogodziły się nieco i w nadzwyczajnem wzruszeniu swoim, jaskając się odpowiedział:

— Rzeczywiście... Panie... ślepo ufając przyrzeczeniu Pana... liczyłem jak zwykle na kredyt u niego...

— Otóż!... mój kochany Panie Dutertre... nie chcąc narażać cię na nieprzewidziany kłopot, jakem ci to właśnie powiedział, i ponieważ ci jeszcze pozostaje ośm dni czasu, postąpisz bardzo dobrze że się gdzie indziej zabezpieczysz i że na mnie pod żadnym względem rachować nie będziesz.

Teraz dopiero Paskal zamknął drzwi i oddalił się.

Doznany zawód w powziętej na chwilę nadziei, tak gwałtownie i boleśnie dotknął Karola, że upadł na krzesło blady, bezsilny i zakrywszy twarz rękoma, zawołał pośród głośnego łkania:

— Zginałem... zginałem...

— A nasze dzieci...—zawołała Zofia głosem przerywanym, rzucając się na kolana swego męża, — nasze biedne dzieci!...

— Karolu... — rzekł nareszcie starzec wyciągając ręce i zbliżając się krokiem chwiejnym do swego syna, —Karolu... mój synu drogi... nie trać odwagi.

— O! mój ojeze... to nasz upadek... bankructwo... — mówił nieszczęśliwy Karol śród konwulsyjnego łkania. — Nędza! o! mój Boże! nędza dla nas wszystkich...

Dziwne przeciwieństwo podniosło jeszcze tę boleść do najwyższego stopnia; dwoje wesołych, krzykliwych dzieciak wbiegło w tej chwili do salou, wołając z całego gardła:

— To Magdalena! To Magdalena!

Magdaleno... moja matka...
uższ ojeleć... kwy on i minie także cokol swo-
je nazwy...
Magdalena wzdychały niepodobnie, zwała
się Zofia na szycie tak nagle, w takim kapielom
przywieszania, że Karol Dutertre nie miał czasu
dojść do rymów młodej kobiety, lecz kładąc rękę
po ostatnich słowach Pani Dutertre, wyciągnął
się ku niemu, doznał...
w niego, wzięła...
miał, townie jak jego sowa zpodobiał...
wych słowach pani Paskala...

ROZDZIAŁ X.



a widok Magdaleny (którą był nie kto inny jak Margrabina de Miranda), szczęście pani Dutertre było tak wielkie, że przez chwilę wszystkie jej zgryzoty, wszystkie obawy były zupełnie zapomniane, a jej miłe i powabne oblicze żywą zajaśniało radością; zaledwie tylko zdołała wymówić te słowa głosem przerywanym: — Magdaleno... droga Magdaleno!... po tak długim rozłączeniu oglądam cię narreszeie...

Po tych pierwszych uściskach dwóch młodych kobiet, Zofia rzekła do swjej przyjaciółki pokazując jej kolejno wzrokiem Karola i starca:

— Magdaleno... mój mąż... jego ojciec... nasz ojciec... gdyż on i mnie także córką swoją nazywa...

Magdalena wszedłszy niespodzianie, rzuciła się Zofii na szyję tak nagle, z takim zapalem przywiązania, że Karol Dutertre nie miał czasu dojrzeć rysów młodej kobiety, lecz kiedy ta, po ostatnich słowach Pani Dutertre zwróciła się ku niemu, doznał wrażenia nagłego, dziwnego, wrażenia tak żywego że przez kilka minut, równie jak jego żona zapomniał o mściwych słowach pana Paskala.

To co Karol Dutertre uczuł na widok Magdaleny, było dziwną mieszaniną, zadziwienia, uwielbienia i prawie niespokojności, gdyż doznał zarazem pewnego wyrzutu sumienia, że w tak krytycznej chwili był jeszcze przystępnym dla innych myśli oprócz myśli o zgubie, która jemu i jego rodzinie groziła.

A jednak margrabina de Miranda nie zdawała się za pierwszym wejrzeniem wywierać wpływu tak nagłego i tak żywego. Będąc wzrostu dosyć wysokiego, kibić jej i piersi nikły prawie zupełnie pod szeroką mantylą z świeżej wiosennej materyi podobnej do materyi jej sukni, której długie włokące się fałdy

zaledwie pozwalały widzieć sam koniec bóci-ka; podobnież było z jój rękami prawie całkiem ukrytymi pod rękawami jój sukni, które wbrew zwyczajowi nosiła bardzo długie; mała kapotka krepowa śnieżnej białości, bez żadnej innej ozdoby prócz białej atlasowej wstążki związanej pod brodą, otaczała jój lica podłużnego owalu, i podnosiła jeszcze barwę jój twarzy, gdyż, rzecz dosyć dziwna, Magdalena miała białą matową cerę brunetki, i bardzo duże oczy słodkiego i pogodnego błękitu, ocienione rzęsami równie jak jój brwi czarniejszemi od hebanu, gdy tymczasem jój włosy zawinięte w mnóstwo drobnych pukli à la Sévigné były tego jasnego koloru, jakim Rubens zwykł otaczać głowy i ramiona swoich białych Najad.

Lica Magdaleny pomimo ich elastycznej jędrności i tkanki równie delikatnej, równie gładkiej jak papier ryżowy, były lekko zapadłe, gdy tymczasem jój rzęsy były tak gęste, tak bujne, że możnaby powiedzieć, iż na wzór kobiet wschodnich które nadają swoim spojrzeniom wyraz roskoszy zarazem ognistej i swawolnej, margrabina malowała spód swoich powiek prawie zawsze na pół przymkniętych czarną obwódka odbijającą się tak żywo

od dużych błękitnych źrenic; jój różowe nozdrze, ruchome, nerwowe, rozszerzały się po obu stronach greckiego nosa w kształtnych zarysach; jój usta, czerwoności tak żywej, że zdawała się widocznie krążyć w nich krew purpurowa i ciepła pod ich delikatną powłoką, były pełne, utoczone powabnie, wypukłe nieco, jak usta starożytnéj Erygony, i odkrywały niekiedy pomiędzy dwoma purpurowemi brzegami wązki szlaczek białéj emalii jój zębów. Ale pocóż mamy dalej kreślić ten obraz? Nie pozostanież zawsze pomiędzy naszym opisem jakkolwiek najwierniejszym, najpowabniejszym, a rzeczywistością ta nieprzebyta przestrzeń oddzielająca malowidło od istoty żyjącej? Byłoby to rzucać się na rzeczy niepodobne, chcieć uczynić dotykálną tę atmosferę czarującą jakimś niezwalczonym urokiem, może nawet magnetyczną, która zdawała się otaczać tę dziwną, nieodgadnioną kobietę. Tym sposobem, to co w każdéj innéj kobiecie byłoby wywołało skutek ujemny, w niéj zdawało się stokroć pomnażać środki uludy. Chcemy tu mówić o szerokości i długości jój sukien, które prócz pięknych ramion około których powiewała jój mantyla, okrywały wszystkie za-

rysy jej kibici, pozwalając zaledwie widzieć koniec jej palców i końce obuwia.

Falista szerokość draperyi spadającej do stóp jakiej Muzy starożytnej z licem poważnem i zamysłonem... pomnaża jeszcze wspaniały wyraz całej postaci bóstwa. Zarzuć szeroką zasłonę na piękne ciało Wenery Afrodyty, a wyobraźnia twoja rozplómiennieje się sama tajemnicą nieznanym i ukrytym wdzięków.

Takie też wrażenie sprawiła Magdalena na Karolu Dutertre, który niemy i zmieszany przypatrywał jej się czas jakiś nie wyrzekłszy ani jednego słowa.

Zofia nie mogąc się domyślić przyczyny milczenia i wzruszenia swego męża, sądziła że był cały zatopiony w myśli o grożącym ich domowi niebezpieczeństwie; myśl ta sprowadziła ją także do obecnego położenia, zapomnianego na chwilę, i dla tego rzekła do margrabiny z wymuszonym uśmiechem:

— Wybacz roztargnieniu Karola, moja droga Magdaleno... w chwili kiedyś weszła do salonu, rozmawialiśmy właśnie o interesach... o interesach bardzo ważnych dla naszego domu...

— Rzeczywiście, racz mi Pani przebaczyć,—

rzekł Dutertre zbliżając się z drzeniem i w niepojętem wzruszeniu do przyjaciółki swęj żony; — na szczęście, to wszystko co mi Zofia mówiła o zwykłej Pani dobroci, o jęj pobrażaniu...

— O mojem pobrażaniu?... wszakże to ja raczej potrzebuję Pańskiego pobrażania, — odpowiedziała Margrabina z uśmiechem, — gdyż ulegając gwałtownemu pragnieniu jak najspieszniejszego oglądania mojęj drogięj Zofii, i wbiegając niespodzianie, rzuciłam jęj się na szyję, nie zważając wcale na obecność Pana... równie jak na obecność ojca Pańskiego... który dla tego raczy mi może przebaczyć, że obeszłam się z Zofią jak z moją siostrą... ponieważ sam obchodzi się z nią jak ze swoją córką.

I to powiedziawszy, Magdalena zwróciła się do starca.

— Niestety, Pani, — odezwał się mimowolnie ojciec Karola, — nigdy moje dzieci nie czuły więkšej potrzeby przywiązania swoich przyjaciół, jak w obecnej chwili... Samo niebo nam tu Panią zsyła.

— Mój ojcze... — rzekł pocichu Dutertre do starca, jak gdyby mu chciał uczynić łagodny wyrzut, że obcej osobie powierza domowe

zgryzoty, zwłaszcza że Magdalena rzuciła zdziwione i badawcze spojrzenie na jego żonę.

Starzec zrozumiał myśl swego syna i powiedział do niego pocichu:

— Masz słusność... powinienem był milczeć; ale boleść jest tak niedelikatną!... Pójdźmy... Karolu... odprowadź mnie do mego pokoju... czuję się bardzo osłabionym...

Po tych słowach, wziął Karola za rękę. W chwili kiedy Dutertre miał wychodzić z salonu, margrabina zbliżyła się do niego mówiąc:

— Do zobaczenia, Panie Dutertre, gdyż uprzedzam Pana... że w czasie pobytu mego w Paryżu, często... o! bardzo często będę odwiedzała moją ukochaną Zofię... Zresztą, będę nawet prosiła Pana o wyświadczenie mi pewnej usługi, i, ażeby być pewną przychylenia się Pana, włożę na Zofię obowiązek proszenia Pana o to... Widzisz Pan, że postępuję jak przyjaciółka... jak dawna przyjaciółka... gdyż przyjaźń moja dla Pana Dutertre datuje od szczęścia które Zofia mu zawdzięcza... A więc do prędkiego zobaczenia, — dodała margrabina wyciągając swą rękę do Karola z poruszeniem ujmującej serdeczności.

Mąż Zofii pierwszy raz zawstydzil się rąk

swoich szerniałych przez pracę; za ledwie też ośmielił się uścisnąć koniuszeczki małych, różowych paluszków Magdaleny, i na to dotknięcie zadrzał nieznacznie; pałacy rumieniec wystąpił mu na czoło, i chcąc ukryć swą niespokojność i pomieszanie, ukłonił się głęboko przed Margrabiną i wyszedł za swoim ojeem.

Od samego początku tej sceny, dwoje dzieci Zofii, trzymające się za ręce i zasłonięte w połowie przez ich matkę, przy której stały, przypatrywały się z coraz większą ciekawością obcej damie.

Margrabina spostrzegłszy dopiero teraz ich obecność, zawołała spoglądając na swą przyjaciółkę.

— Twoje dzieci! mój Boże, jakież one ładne!... o! musisz z nich być bardzo dumną!

I uklękła przed dziećmi, ażeby się z niemi zrównać niejako; poczem odgarnawszy ręką jasne wijące się pukle zasłaniające czoło i oczy swjej małej córki chrzestnej, której główka była w połowie pochylona, margrabina uniosłszy drugą ręką jej bródkę, i wpatrując się czas jakiś w tę śliczną, świeżą i rumianą twarzyczkę ucałowała lica, oczy, czoło włosy i szyję dziecięcia z macierzyńską czułością.

— I ty, mój śliczny cherubinie, nie bądź zazdrośnym, — dodała zbliżając ciemną główkę chłopczyka do pięknej twarzyczki jego siostry i obdzielając oboje swemi pieścizotami.

Zofia Dutertre aż do łez wzruszona, uśmiechała się smutnie na ten widok, gdy w tem margrabina, zostająca ciągle jeszcze na kolana, podniosłszy oczy swoje do niej i tuląc do siebie dwoje jój dzieci, rzekła:

— Nie uwierzysz temu, Zofio, że ściskając i całując te aniołki, pojmuję... czuję prawie to szczęście jakiego ty doznawać musisz... ah! tym więcej cię jeszcze kocham, że wiem iż jesteś szczęśliwą, tak zupełnie szczęśliwą.

Słyszając szczęście swoje wychwalane w ten sposób, Zofia przywiedziona znowu okropnem wspomnieniem do obecnego swego położenia, o którym na chwilę zapomniała, pochyliła głowę, zbladła i rysy jój przybrały wyraz tak ciężkiej boleści, że Magdalena powstawszy nagle, zawołała:

— Mój Boże!... Zofio... ty bledniejesz... co ci jest?

Pani Dutertre stłumiła głębokie westchnienie wydobywające się z jój piersi i kiwnąwszy smutnie głową, odpowiedziała:

— Nic mi nie jest... Magdaleno... wzruszenie... radość że cię oglądam po tak długim rozłączeniu...

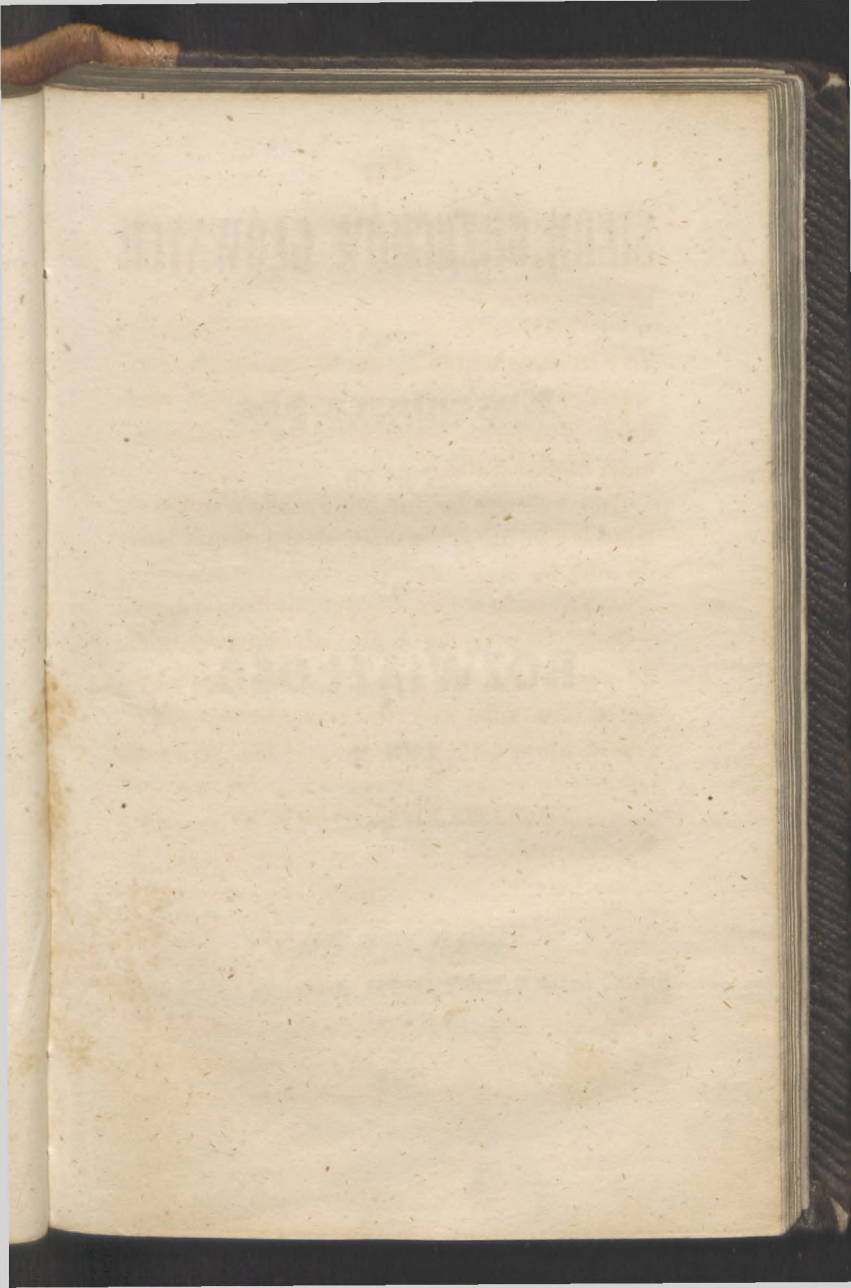
— Wzruszenie! radość! — rzekła Margrabina z bolesnem powątpiewaniem, — nie, nie... przed chwilą... było to wzruszenie... była to radość; lecz teraz... wyglądasz bardzo smutną... moja biedna Zofio.

Pani l'utetre nic nie odpowiedziała; ukryła tylko łzy swoje i ściskając dzieci powiedziała do nich:

— Idźcie do waszj bony, moje drogie dzieci.

Mała Magdalenka i August przyzwyczajeni do posłuszeństwa, wyszli z salonu, oglądając się jeszcze kilka razy dla przypatrzania się téj damie, którą uważali tak przychylną dla siebie.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO MAGDALENY.



Nie, nie, nie jest... Magdaleno... wrzucenie... radość do ciebie... tyłom po tak długim rozdźwięku...

— Wzruszenie! radości! — rzekła Margerita, na zbolewnym powątpiewaniu. — nie, nie... przed chwilą, była... wiesz... była to radość! lecz ty... wiesz... jesteś bardzo smutna, moja biedna Zofia...

Pani Paterre nie nie odpowiadała, szła tylko, by swoja fizycka... dzieci... powiedziała do nich...

— Idziecie do waszej bony, moja drogie dzieci. Młota Magdaleno i August przywiozły do waszego mieszkania, wyciek z salonu, oglądając się jeszcze kilka razy dla przypatrzenia się tej damie, która czekała tak przychylnie dla siebie...

CONTE THOMAS PATERRE ET MAGDALENI.